**Nr. 11** (1469) Warszawa, 13 Marca 1909 r. **Rok XXIX.**

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

## POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Na przełomie.

Znana jest czytelnikom naszym historja wykreślenia się pewnej liczby członków Polskiego Zjednoczenia Postępowego. Fakt ten, któremu i prasa, i sami ustępujący członkowie nadali wielki rozgłos, ma bezwątpienia dwa znaczenia i stwarza sytuację, nad którą zastanowić się należy Jak wiadomo, członkowie występujący ze Zjednoczenia powoływali się na dwie zasady, które ich do wystąpienia skłoniły: 1-o odezwę P. Z. P. którą uważali za niepatryjotyczną i w danej chwili niewłaściwą, 2-o na odrzucenie przez większość zebrania ogólnego—wniosku, domagającego się utworzenia Rady międzypartyjnej, do której obok postępowców wejść mieli członkowie stronnictwa polityki realnej. Pierwszy z tych względów bezwątpienia znaczenia decydującego nie miał. Był on tylko pozorem, którego się uchwyciła pewna grupa członków, aby zamanifestować swój kierunek i swoje tendencje. Wniosek ten logicznie zupełnie wypływa z dwuch okoliczności: 1-o że przeciwnikami odezwy nie byli pojedyńczy członkowie, ale pewna zwarta grupa, otaczająca p. Konica; 2-o że postawili oni kwestję potępienia odezwy, jako warunek pozostania ich w Zjednoczeniu, gdy jednocześnie potępiali ją nie zasadniczo, ale raczej ze względu na formę i na moment jej wydania. Odezwa sama przez się nie stanowiąc więc sprawy zasadniczej, nie była powodem tak energicznego przeciwdziałania ze strony członków; nie ustąpiliby oni gdyby nie było przyczyny głębszej. Przyczyna ta tkwi w drugiej zasadzie, na którą powołują się t. zw. secesjoniści, a mianowicie w żądaniu utworzenia Rady międzypartyjnej, a ściślej mówiąc, wzmocnienia smutnej pamięci koncentracji „narodowej”.

Żądanie to znaczną większością głosów przez Zebranie Ogólne odrzuconym zostało, i to tak dalece rozgoryczyło tę grupę członków, która je postawiła, że gremjalnie opuścili oni Zjednoczenie. I zrobili bardzo słusznie. Żądanie ich bowiem dowiodło, że stoją na stanowisku tak dalece idejowo sprzecznym z poglądami większości, iż wspólna praca stała się niemożliwą. Nie mamy bynajmniej zamiaru uwłaczać cnocie obywatelskiej lub uczuciom narodowym secesjonistów. Jesteśmy przekonani, że z zupełnie dobrą wiarą obrali oni kierunek, który chcieli narzucić Zjednoczeniu. Przyznajemy wszakże otwarcie, że odetchnęliśmy z uczuciem wielkiej ulgi, kiedyśmy już na Zebraniu Ogólnym usłyszeli oświadczenie p Konica, że drogi nasze rozejść się muszą i kiedy oświadczenie to potwierdziły później listy członków, żądających wykreślenia ich ze Zjednoczenia.

Było to dlań koniecznością. Członkowie, którzy je opuścili, tamowali ruchy i decyzje stronnictwa, ciągnęli je na drogi, na których ono, jako stronnictwo postępowe, nietylko nie miałoby nic do zrobienia, ale nawet musiałoby zatracić swój charakter, wprost swoją rację bytu.

Nieszczęściem stronnictw postępowych u nas, od samego początku ich powstania, były te żywioły niezdecydowane i niewyraźne, które, jak nietoperze, chciały latać z ptakami i biegać ze zwierzętami. Żywioł ten pozbawiał postępowców naszych właściwej fizjognomji; barwy ich mieszały się w jakąś niezrozumiałą mazaninę, co odpychało od postępu te warstwy społeczne, które stanowić by powinny jego naturalne zastępy. I dlatego oderwanie się od nóg Zjednodnoczenia tej kuli, którą była grupa t. zw. secesjonistów, powinno być uważane za wielki dzień w życiu naszego stronnictwa, i nietylko jego, ale, śmiemy powiedzieć, nawet postępu naszego wogóle.

Nareszcie mamy rozwiązane ręce, możemy pokazać swoją twarz prawdziwą, wydobyć z piersi zgodny akord, tchnący siłą i stanowczością. Nareszcie możemy wypowiedzieć się wyraźnie, utworzyć z siebie ognisko, które jasno świecić będzie.

Stronnictwo postępowe nie powinno być, jak dotychczas, Janusem o dwuch twarzach, zagadką, nad której rozwiązaniem trzeba było porządnie głowę sobie łamać. Nieliczni tylko gotowi byli to zrobić, i przychodzili do Zjednoczenia, szukając tam ziszczenia swych ideałów politycznych i społecznych. Ale spotykał ich przeważnie zawód. Zamiast jasno określonych zadań i celów, widzieli walkę wewnętrzną, widzieli dwa sprzeczne prądy, których ścieranie się, obezwładniało działalność stronnictwa. Na Zebraniu Ogólnym wybrało ono jedną drogę, odrzuciło drugą. Ani dziś, ani w przyszłości niechaj już nikt nie pyta: Kto wy jesteście, w co wierzycie i do czego dążycie? Teraz to będzie jasne, to przestanie być zagadką.

Stronnictwo postępowe ma drogę wytkniętą przez tradycje i istotne potrzeby ludu i, albo pójdzie tą drogą i spełni swój obowiązek, albo ominie ją i skaże się samo na zagładę.

Wszelkie dane każą wróżyć, że stronnictwo postępowe, pozbywszy się przeszkód, stanie na wysokości swych zadań.

* * *

Zadania te są liczne i trudne; trudne, jak wszelkie szukanie dróg nowych, jak wszelka walka z zastojem i bezwładem, jak każdy wielki wysiłek, który w masy nowe życie tchnąć pragnie. Stronnictwo postępowe tych trudności lękać się nie może. Musi i ono, muszą jego członkowie iść na ciężki trud i walkę. Może, na razie, nie przyniesie ona zwycięstwa, ale w dziejach pozostawi jasną kartę, która światło swe rzucać będzie w przyszłość.

Z tej drogi chciano sprowadzić Zjednoczenie Postępowe, chciano je obezwładnić przez wiązanie się z reakcją, tą reakcją, z którą ono walczyć powinno. Jego najgłębsza istota na tym właśnie polega, że jest ono reakcją przeciwko wstecznictwu, a oklaski z jego strony stanowić dla nas powinny najsurowszą naganę.

Żywioły, które składały swe kukułcze jaja w gnieździe postępu, obniżyły jego zakres do poziomu, na którym zaczął on się już zlewać i z polityką realną, i z narodową demokracją.

Już zaszczycono Zjednoczenie Postępowe zaliczeniem go do stronnictw „narodowych", już zwracano się dziś o poparcie Koła polskiego. W „patryjotycznych" salonach zaczęto pobłażliwie o Zjednoczeniu mówić. Niebezpieczeństwo więc było groźne. Ale zażegnało je Zebranie Ogólne, które „zaszczytne" pochwały odepchnęło i wypowiedziało się przeciwko tym, którzy tych pochwał szukają. Zadania i ambicje Zjednoczenia Postępowego w innej leżą stronie. Że weszło ono na właściwą drogę, dowiódł tego incydent z odezwą Rady Głównej. Potępiły ją wszystkie pisma realistyczne, endeckie i do nich zbliżone (*Głos Warszawski*, *Słowo*, *Dziennik Powszechny* i t. p.), pochwaliły wszystkie pisma radykalne bez względu na kierunek swego radykalizmu (*Goniec*, *Przegląd Poranny*, *Społeczeństwo*, *Myśl Niepodległa* i t. p.). Gdyby Zjednoczenie Postępowe nie miało własnych argumentów na poparcie swej odezwy, te pochwały i nagany stanowiłyby dla niego potwierdzenie słuszności jego czynu ze stanowiska postępowego.

Postęp leży dalej, niż sądzi wielu tych, co się za postępowców uważają Niedość jest wymyślać na na Narodową Demokrację i realistów pod kątem polityki bieżącej, nie dość jest nie być antysemitą, trzeba dążnościami wyprzedzać swoją epokę, trzeba głęboko wniknąć w potrzeby i uczucia tych warstw, dla których stan istniejący jest tylko źródłem cierpień i braków, trzeba gorąco dążyć do jego zmiany, w imię odwiecznych haseł demokracji. W tej pozytywnej robo-

---

9)

Aleksander Świętochowski.

# DUCHY.

## VI. BURZA.

### Widok 5.

*Mador* Dlaczego tak długo nie wpuściłyście mnie?
*Dina* Hena cię nie poznała.
*Mador* Więc dobrze się przerobiłem. Witel, który od was wyszedł, również mnie minął. Czy wam przyniósł jakie nowiny?
*Dina* Żadnych.
*Mador* Dziwię się, bo mówiono mi, że odkrył jakieś zamierzone na nas łowy. Ja rzeczywiście czuję, jak gdybym ciskał się w sieci. U stróża domu, gdzie mieszkałem, czatuje na mnie agient. Przez dwa dni jeździłem ciągle koleją. Chciałbym uciec z Miasta i zabrać trochę książek agitacyjnych, ale nie mam ani szeląga i jestem tak głodny, że jadłbym wasz klajster introligatorski. Jak stoi wasza kasa?
*Hena* Pusta.
*Mador* A nic do sprzedaży lub zastawu nie posiadacie?
*Dina* Mam grzebień szyldkretowy.
*Mador* Za mało.
*Hena* Dziś zbrakło nam już nawet chleba.
*Dina* Czy nie możnaby spieniężyć mojego warkocza?
*Hena* Owszem, ale trzeba wprzódy go sprzedać a potym obciąć. Szkoda byłoby pozbywać go się daremnie, zwłaszcza że kobiety z krótkimi włosami zwracają na siebie uwagę.
*Dina* Madorze, zaprowadź mnie do jakiego bezpiecznego fryzjera.

Wybiegli. Po chwili wszedł Arjos.

### Widok 6.

*Arjos* Od Diny dowiedziałem się, że nie macie co jeść. Dlaczego nie zawiadomiłyście Rady?

cie postępowców, czy odbywa się ona na polu politycznym, czy społecznym, zwalczani są oni energicznie i wszelkimi środkami godziwymi i niegodziwymi. Trzeba więc umieć znieść tę walkę, nie oglądając się na oklaski swoich przeciwników; umieć ponieść ofiary i poświęcenia, których praca dla postępu wymaga; stanąć silnie przy tych ideałach, do których ciernista prowadzi droga. Społeczeństwo nasze nie po raz pierwszy popełnia błąd, który na nie zawsze klęski sprowadzał; nie liczy się z ludem, dawniej wiejskim, a dziś wiejskim i miejskim. Sfery inteligientne, kierownicze usypiają i siebie i ten lud swoimi baśniami, nie bacząc zupełnie na to, że on ma własne baśnie, które w nim żyją uświadomione lub nieuświadomione, a które kiedyś zażądają miejsca w chórze narodowym. Czy te chóry nie stworzą dysonansu?

I oto, co powinno być czynem politycznym postępu: wywalczyć miejsce dla głosu ludu i stworzyć taką z nim jedność, aby głos ten nie był zupełnie odosobnionym, ale znalazł oddźwięk choćby w postępowym odłamie inteligiencji.

To jest nasz obowiązek jako Polaków patryjotów, jako demokratów i postępowców.

*R. P.*

## Bandytyzm i reakcja.

Ogromny wzrost występności w jej formach najcięższych — w formie bandytyzmu i rabunku, — w ciągu lat ostatnich, zarówno u nas jak i w całym państwie, jest zjawiskiem bardzo smutnym i upokarzającym dla naszego stanowiska cywilizacyjnego i kulturalnego. Przeciętny europejczyk musi spoglądać na nas, jako na kraj dzikusów i barbarzyńców — tak nizko upadł u nas stan bezpieczeństwa publicznego, bez którego nie da się pomyśleć jakiekolwiekbądź kulturalne współżycie ludzkie. Zjawiska tego niepodobna pominąć milczeniem. Uderza w nim — pominąwszy stronę ilościową — dwie doby przedewszystkim: ogromna zuchwałość zbrodniarzy oraz wyrafinowane okrucieństwo, świadczące o rozpętaniu najbardziej krwiożerczych instynktów, ukrytych w naturze człowieka-zwierza. Opryszkowie rabują i mordują mieszkańców w biały dzień, na ruchliwych ulicach naszych miast i miasteczek, na oczach przechodniów i policji, napadając mieszkania wiejskie, dopuszczają się z reguły okropnego pastwienia się i znęcania nad nieszczęśliwymi ofiarami w celu wymuszenia zeznań, znęcania się w niczym nieustępującego torturom średniowiecznym. Jeżeli uwzględnić, że na całym niemal obszarze państwa istnieją stany wyjątkowe i sądy wojenne, z których wyroków codzień tracą licznych skazańców, przestępców, że każdemu niemal z bohaterów zbrodni grozi stryczek — zjawisko to nabiera szczególnego znaczenia pod względem psychologicznym, szczególnej zgrozy. Wartość życia zarówno cudzego jak i własnego sprowadzona jest tutaj niemal do zera.

Występność przeciwko życiu i mieniu współobywateli istniała zawsze i wszędzie. W każdym społeczeństwie są jednostki, które się dopuszczają najcięższych zbrodni, czy to wskutek indywidualnych zboczeń duchowych, nabytych dzięki złemu wychowaniu i szkodliwemu wpływowi środowiska, czy wskutek nędzy wyjątkowej, płynącej najczęściej z nienormalnych i niezdrowych stosunków socjalno-ekonomicznych społeczeństwa dzisiejszego. Nędza rodzi występność. Kulturalne, cywilizacyjne i ekonomiczne podniesienie szerokich warstw ludności są najlepszymi środkami zabijającymi występność, łagodzącymi jej objawy.

Te stałe, podlegające bardzo powolnej ewolucji czynniki występności, istniejące w każdym zrzeszeniu ludzkim, nie mogą wszakże rzucić światła na zajmujące nas groźne objawy rozkładu naszego życia społecznego w chwili bieżącej. Nasz bandytyzm jest zjawiskiem wyjątkowym, mającym ostre cechy patologiczne. Jego przyczyn należy szukać w szeregu ciężkich wstrząśnień duchowych i materjalnych, jakie społeczeństwo polskie w ciągu ostatnich lat paru przeżyło.

Na pierwszy rzut oka możnaby przypuszczać, że główne przyczyny zalewającej nas fali zbrodni tkwią

---

*Hena* Miałyśmy nadzieję, że zarobimy introligatorstwem; ale od tygodnia wszywamy w okładki wydawnictwa partyjne. Przygotowałyśmy około tysiąca.

*Klimen* Klimen także się głodzi?

*Hena* Nie skarży się.

*Arjos* Ależ my jego pieniędzmi pokrywamy główne wydatki.

Zapukał do drzwi alkowy. Wszedł Klimen, Hena oddaliła się do kuchni.

*Klimen* Zawiodę was, mój drogi. Nie przygotuję numeru tak prędko, jak byście pragnęli. Składam wolno, osłabłem, oczy mnie bolą.

*Arjos* Boimy się dać ci pomocnika, bo drukarnia jest dotąd naszą najważniejszą bronią i musi być okryta bezwzględną tajemnicą. A nasi ludzie wogóle za dużo mówią. Chybaby ktoś z komitetu...

*Klimen* Musiałby się dopiero uczyć i robota szłaby jeszcze wolniej. Będę ją pchał sam. Tylko mi przyślijcie, jeśli macie zbyteczne, parę bochenków chleba i trochę kawy. Nieraz muszę się podniecić. A i te biedne kobiety omdlewają z głodu i znużenia.

*Arjos* Dziś otrzymacie. Przyniosłem odezwę, którą postanowiliśmy wydać jak najprędzej. Strzał armatni, zwiastujący wojnę. Skutkiem srogości rządu zwyciężył w komitecie duch bojowy. Nie mogą go już pokonać — nawet w sobie. Broniłem się długo, ale widok gwałtów i prześladowań, ciągłe wstrząsanie się gniewem lub zgrozą wytrąciło mnie z równowagi. Dziś już w naszej gromadzie wszystkie ręce pochwyciły sztandar czerwony, tylko jedna trzyma wciąż biały.

*Klimen* Orla?

*Arjos* Tak.

*Klimen* Dziwna istota: bezskażna, twarda, przejrzysta, blasku pełna, naturalny, nieszlifowany brylant.

*Arjos* Niestety, rewolucja nie znosi moralnych kryształów i rozmiażdża je tak samo, jak żwir. Orla wsiadła na nasz wóz rzeźnicki, bo inny w kierunku jej pragnień nie jedzie; co chwila z niego zeskakuje, gdy ją co coś urazi, ale znowu go dogania. Wszyscy ją szanują i wszyscy chcieliby się od niej odwrócić, jak od rażącego światła, które oślepia oczy i nie pozwala widzieć rzeczywistości.

*Klimen* I ja bym z tego wozu wiele rzeczy chciał wyrzucić.

w przewlekłym kryzysie ekonomicznym, ciążącym nad krajem, kryzysie, który rzucił na bruk tysiące ludzi głodnych, pozbawionych zarobku. Być może istotnie, niejeden z tych pozbawionych pracy, przyparty głodem wszedł na drogę występku; być może. Wszakże nie należy, naszym zdaniem, zbytnio przeceniać wpływu tego czynnika. W warunkach normalnych nawet najbardziej ostre kryzysy ekonomiczne nie powodują tak jaskrawego wzrostu występności, jak to widzimy u nas. Wszystkie społeczeństwa cywilizowane perjodycznie doznają plagi kryzysów ekonomicznych; ale przesileniom gospodarczym nie towarzyszą na Zachodzie masowe epidemje mordu i rabunku.

Wprawdzie pod tym względem społeczeństwa zachodnie znajdują się w warunkach znacznie szczęśliwszych od nas: przedewszystkim klasa robotnicza, dzięki szerokim organizacjom zawodowym, jest jakotako uzbrojona na wypadek bezrobocia; dalej, z pomocą ludności dotkniętej klęską, przychodzą wzorowo zorganizowane gminy miejskie, a nawet wiejskie, dając zarobek ludności pozbawionej pracy. Dzięki nieszczęśliwym warunkom politycznym nic podobnego niema u nas; samopomoc społeczna, o ile tylko bywa dozwolona, musi się opierać u nas wyłącznie na inicjatywie prywatnej i dobrej woli jednostek. Walka z klęskami gospodarczymi staje się przez to znacznie trudniejszą, zaś ich następstwa — cięższe. Ale pomimo wszystko ta różnica na naszą niekorzyść nie tłumaczy, naszym zdaniem, przyczyn panoszącego się u nas bandytyzmu. Wszak społeczeństwo polskie niejednokrotnie już przeżywało ostre przesilenia ekonomiczne i ciężkie klęski żywiołowe, które pozbawiały chleba setki tysięcy mieszkańców, — ale jakoś dawało sobie z tym radę. Zresztą ostry okres kryzysu już minął i społeczny organizm gospodarczy zaczyna powoli funkcjonować normalnie. I jeszcze jedno — samą nędzą i głodem ludności pozbawionej pracy nie da się wytłumaczyć masowego okrucieństwa i rozbudzenia istynktów krwiożerczych,—są to zjawiska leżące w zupełnie innych płaszczyznach psychicznych duszy ludzkiej. Conajwyżej nędza mogła tylko przygotować grunt bardziej podatny, na którym inne zgoła czynniki posiały ziarno potworne. Bakterje zbrodni, jak wogóle wszelakie bakterje chorobotwórcze, wymagają dla swego rozwoju pewnych określonych warunków organicznych, pewnego nastroju społecznego, pewnego stanu psychicznego i moralnego środowiska. W okresach wielkiego napięcia ducha zbiorowego, w okresach silnych porywów twórczych—nawet największa nędza jednostek nie wyradza się w kwiożerczość i zbrodnię. Wyolbrzymiała zbrodniczość jest cechą okresów wielkiego upadku ducha społecznego, okresów przygnębienia i apatji powszechnej. Takie właśnie czasy, spowodowane wciąż zalewającą nas falą reakcji politycznej, przeżywa społeczeństwo polskie w chwili bieżącej. Tutaj zatym — w reakcji politycznej — należy szukać najbardziej istotnych, najgłębszych przyczyn zbrodni. Ona jest ojcem duchowym trapiącego nas bantytyzmu.

W rzeczy samej, skomplikowane stosunki cywilne społeczeństwa spółczesnego opierają się przedewszystkim na dostatecznie rozwiniętym poczuciu solidarności zbiorowej, czerpiącej swe soki żywotne z kultury materjalnej i moralnej środowiska, z jego wartości cywilizacyjnej, jednym słowem z całej pełni duchowego i materjalnego życia społeczeństwa. To poczucie solidarności zbiorowej i wypływającej stąd etyki cywilnej odziedziczamy od przodków w formie pewnych instynktów moralnych, dopełniamy i bogacimy dzięki wychowaniu w rodzinie, szkole, wreszcie — w życiu obywatelskim. Im bogatsze jest w treść duchową i materjalną życie społeczności, im wyższą jest jej wartość cywilna — tym silniej i wszechstronniej objawia się moralna solidarność zbiorowa, lecz mniejszą rolę odgrywa w życiu społecznym kara i postrach, by zapewnić obywatelom spokój, bezpieczeństwo życia i mienia. Społeczeństwo, żyjące w warunkach organicznie normalnych, jest powiązane tysiącem nici moralnych, które regulują stosunek jednostek do jednostek i do zbiorowości.

Lecz z chwilą, gdy brutalna siła czynników wrogich zaczyna tłumić życie społeczne, lub wręcz je niweczy, jak to ma miejsce u nas, moralna budowa społeczeństwa ulega potwornemu okaleczeniu. Społeczeństwo rozprasza się na drobne atomy. Wystarczy pierwszej silniejszej pobudki moralnej lub materjalnej, by — w warunkach odpowiednich — jednostka moralnie lub społecznie niedorozwinięta, lub wytrącona wypadkami z równowagi duchowej — zerwała te nadwątplone nici solidarności zbiorowej i weszła na dro-

---

*Arjos* Nie można ich uniknąć a trudno się pozbyć. Rewolucja stanowi potężny motor, którego prąd przeprowadzają lub poprostu kradną dla swych dążeń rozmaite żywioły zbuntowane i wyzyskujące zamęt. Korzysta z tego prądu poczciwy Lot ze swą grupką, który wierzy, że zwycięzki lud odbuduje mu zburzoną ojczyznę, korzystają z niego również zwyczajni rabusie, którzy napadniętym zasypują oczy idejową tabaką. Kiedyś odetniemy się od niepożądanych sprzymierzeńców, tymczasem sprzęgamy wszystkie siły protestu i rozkładu, ażeby wraz z nami rozbijały obecny ustrój społeczny.

*Klimen* W ciągu paru tygodni zmieniłeś się do gruntu, Arjosie.

*Arjos* Istotnie. Składając do druku tę odezwę, nie przypuściłbyś, że ja ją pisałem. Obecnie w to wierzę, co tu mówię: „Byłoby naiwnością, gdybyśmy okrucieństwu przeciwstawiali łagodność, gdybyśmy sami odsłaniali swe piersi na kule wrogów i owijali ich sznury około naszych szyj. Będziemy robili to, co oni. Będziemy zabijali tych, którzy nas zabijają, z tą tylko różnicą, że będziemy umierali wesoło, rzucając tryumfujące uśmiechy przyszłości. Idziemy na męki i śmierć nie z pokorą i trwogą, lecz z dumą i nadzieją, że ostateczne zwycięstwo jest nasze".

*Klimen* Bodajby te słowa były proroctwem. Pragnę tego dla naszej sprawy i dla własnego uspokojenia. Bo w mojej duszy ciągle coś wątpi i coś płacze a płacze coraz głośniej.

*Arjos* Chodzi ci ciągle o niepokalanie ruchu. Kochany Klimenie, czyste krynice mogą służyć tylko do picia a rzeka, która obraca młyny, ma zawsze w sobie szlam i błoto. Zwłaszcza zaś gdy wystąpiła z brzegów, nie może wylewać wody destylowanej, lecz musi toczyć fale spienione i mętne.

Hena i Stanko weszli bladzi, przestraszeni.

*Stanko* Ider aresztowany.

*Arjos* Widocznie na wiecu był szpieg.

*Stanko* Gorzej. Zaraz go badano i pytano o podkop.

*Arjos* Źle. Co odpowiedział?

*Stanko* Że nie wie — bo rzeczywiście nie wie.

*Arjos* Trzeba się spieszyć.

Milcząc uścisnął ręce Henie i Klimenowi i wyszedł ze Stankiem, a za nimi wionął duch grozy.

gę występku i zbrodni. Zduszone przemocą życie społeczne daje swój ekwiwalent potworny w formie zbrodni.

Wprawdzie, pod względem warunków rozwoju społecznego i narodowego nigdyśmy nie byli społeczeństwem normalnym, zdrowym i tym się tłumaczy wysoka występność karna u nas. Nad okaleczoną duszą naszą zawsze ciążył, jak zmora, młot ucisku politycznego i narodowego; samodzielność i twórczość społeczno-narodowa były sprowadzone niemal do zera; żyliśmy nie pełnią sił swoich lecz jakimś półżyciem, półistnieniem ludzkim. A wszakże dzisiaj, kiedy z odległości paru lat ostatnich patrzymy na owe „pokojowe" czasy ucisku politycznego, wydają się nam one czymś niemal pięknym — tak czarna i beznadziejna jest rzeczywistość dnia bieżącego. Wówczas mieliśmy przynajmniej znaczny zasób energji moralnej i duchowej w stanie ukrytym; mieliśmy określony układ prawny, który gwarantował w pewnym zakresie egzystencję jednostki.

Reakcja zniszczyła doszczętnie i jedno i drugie. W ciągu lat ostatnich niweczono z całą bezwzględnością wszystkie nasze — najbardziej pokojowe i legalne — prace kulturalne, podjęte z ogromnym nakładem sił duchowych i materjalnych.

Jednocześnie z tym, dzięki nieustającym stanom wyjątkowym, zostaliśmy pozbawieni opieki prawa i oddani na łaskę i niełaskę administracji.

Jad reakcji przenikł wszystkie tkanki życia społecznego i prywatnego, wszystkie zatruł. Obok zburzenia życia zbiorowego we wszystkich jego dziedzinach, zniszczył on byt materjalny dziesiątków tysięcy jednostek.

Czytelnicy wiedzą zapewne, że w ciągu ostatnich lat paru policyjne organa większych miast polskich zamieszczają kilka razy na tydzień długie listy osób, skazanych w drodze administracyjnej na zesłanie. Czy czytelnicy zadawali sobie pytanie: co za ludzie są owi deportowani i jaki los czeka ich rodziny? Są to przeważnie przedstawiciele najuboższych warstw ludności pracującej — rzemieślnicy i robotnicy, obarczeni rodziną, utrzymujący matki, siostry, braci. Wygnanie pracowników rzuca na łaskę losu tych wszystkich, kogo podtrzymywali i kim się opiekowali, skazuje ich na nędzę, głód, żebraninę — może kradzież zresztą i rabunek? A sami zesłańcy? Bardzo często, nie znajdując sobie—wskutek zupełnej nieznajomości środowiska, wyżywienia w przymusowych miejscach pobytu, powracają cichaczem do kraju, do rodzinnych zakątków. Ale są to ludzie pozbawieni faktycznego prawa do egzystencji — prawa zamieszkania i pracy; zmuszeni kryć się przed ludźmi i władzą po norach — muszą podtrzymywać swój żywot środkami nie zawsze uczciwymi — aż zostaną wreszcie z konieczności zbrodniarzami. Kroniki sądowe bandytyzmu wykazują właśnie bardzo znaczny odsetek przestępców tej kategorji. Ilu jest nieszczęśliwych, których reakcja polityczna pchnęła i pchnie jeszcze na tę drogę — trudno na to pytanie dać odowiedź...

Ale na tym nie koniec; prócz zesłańców i ich rodzin mamy mnóstwo więźniów politycznych i ludzi wykolejonych, których reakcja pozbawiła kawałka chleba. Od lat trzech wszystkie więzienia i areszty policyjne są literalnie przepełnione ludźmi, którzy, nie będąc przestępcami wobec własnego społeczeństwa, padli ofiarą podejrzliwości władzy.

Te wszystkie tysiące ofiar reakcji doznają nie tylko nędzy i głodu; w duszy ich musi powstać ostry, namiętny ból doznanej krzywdy, który rodzi nienawiść i chęć odwetu. Ten ból i nienawiść przenika całe życie społeczne, zatruwa powietrze, którym oddychamy.

Wreszcie, obok ciężkich ciosów, jakie z rąk rozszalałej reakcji spadały na naród i społeczeństwo — które przygniatały i miażdżyły żywą duszę zbiorową, obok dzikiego niszczenia naszego dorobku kulturalnego i cywilizacyjnego, obok ruiny materjalnej tysiąców obywateli, — przeżyliśmy długi, nieskończony łańcuch strasznych wstrząśnień moralnych i nerwowych. Byliśmy świadkami masowego rozstrzeliwania spokojnie manifestującej ludności, rozstrzeliwania ludzi bez sądu, wieszania przestępców politycznych. Przeżyliśmy okres krwi i śmierci — z początku bywały wypadki, kiedy jednostki szczególnie wrażliwe dostawały obłędu i targały się na własne życie; obecnie zgoła na krew ludzką nie reagujemy: *Przyzwyczailiśmy się*. Jestto straszny spadek przebytego okresu: stąd bierze swój początek dzisiejsze okrucieństwo i zwyrodnienie duszy ludzkiej.

---

## OBRAZ V.

### Widok 1.

Obszerna sala w mieszkaniu Orli obstawiona była wokoło krzesłami. W środku stał stół.

*Arjos* Długo broniłem się temu przekonaniu, ale dziś muszę wyznać z wielkim bólem, że my wszyscy i cała nasza robota nie dla pani.

*Orla* Dlaczego sprawia to panu ból?

Arjos utkwił w nią wzrok gorący, głęboki, pochłonny.

*Arjos* Dlatego, że cię bezmiernie kocham.

Drgnęła i jak gdyby odparła go spojrzeniem.

*Orla* Więc znowu idzie do mnie nieszczęście... Ach!... Ulituj się pan nad moim przeklętym ciałem, którego piękność zasłania ciągle moją duszę i jak szatan odpędza ode mnie wszystkie dobra! Byłam żoną, byłam celem wiecznych pożądań męzkich, których nigdy nie chciałam budzić, o których nie chcę nawet słyszeć... Czemuż nie mogę zedrzeć sobie z twarzy tej nęcącej maski! Dosyć, dosyć obmierzłych pokuszeń! Jeśli pan jesteś moim przyjacielem, pomóż mi obrzydzić się całemu rodzajowi twojemu, wydobyć i puścić w podniebny lot moją orlą duszę, która ma siły i pragnienie wzbić się wysoko, skąd nie widać pełzających po ziemi gadów.

*Arjos* Ja kocham również twoją duszę.

*Orla* Znam te słowa. Co pan przez nie mówisz? Czy to, że ci się podobałam i że jakieś pasemko uczuć, zbywające od umiłowania ideji, radbyć wpleść w stosunek ze mną, czy też chcesz zawrzeć najświętszy ze związków, jakie zna ziemia — związek serc naszych? Czy pan sądzisz, że warto mną ozdobić i uprzyjemnić sobie kawałek życia, pozostawiając dalszy jego ciąg grze losu i zmienności upodobań, czy też tak spoić nasze istnienia, ażeby one nie rozerwały się nawet w wieczności, jeśli duchy ludzkie po zgonie ciał do niej przechodzą? Powiedz pan szczerze. Panie Arjosie, ja nie mogę, wierz mi, nie mogę ani siebie, ani nikogo wydzierżawiać na pewien czas, określony rozwodem z rozsądku i nudy; ja rozumiem w miłości tylko dwuwłasność serc, ich wzlot lub spadanie w przestrzeń bez sklepienia w górze i bez dna na dole.

*Arjos* Nie broń się pani przede mną, bo ja nie jestem

Zestawiwszy powyższe, będziemy mieli w najogólniejszych zarysach ponury obraz zniszczenia, jakiego wśród nas dokonał huragan reakcyjny. Reakcja święci swój krwawy tryumf: społeczeństwo obezwładnione i zdeptane; apatja i upadek ducha panują wszechwładnie. Lecz zarazem zostały zburzone i podstawy moralne, na których się wspiera porządek społeczny; z instynktów zwierzęcych człowieka spadły pęta, które je trzymały na wodzy: jakby się coś urwało w duszy ludzkiej. Dokoła nas coraz wyżej wzbiera fala nienawiści ślepej, żywiołowej, niepowstrzymanej. W atmosferze zniszczenia, bezprawia, teroru i krwi rozkwitło zdziczenie, wylęgło się okrucieństwo. Zbrodnia powiła zbodnię; krew — krew wydala. Jestto odwieczne prawo życia.

Na pobojowisku — obok zwycięzcy grasują maruderzy.

Nad życiem naszym unosi się oddech masowego obłędu — zbrodni.

Nie zaradzi temu wieszanie przestępców. Strach śmierci? Niestety, wypadki lat ostatnich dowiodły, jak mało wartościową rzeczą jest u nas życie ludzkie i jak łatwo je utracić.

W warunkach, kiedy jedynym regulatorem życia zbiorowego staje się instynkt zwierzęcy, zawsze się znajdzie dość śmiałków, których nie powstrzyma przed zbrodnią strach szubienicy.

* * *

Marny szał bandytyzmu i rabunku ustanie z chwilą, kiedy znikną obecne warunki polityczne, które go rodzą. Dopóki reakcja będzie niszczyła podstawy naszego życia zbiorowego i materjalną egzystencję tysiąców obywateli — dopóty będzie kwitła i mnożyła się zbrodnia.

*W. R.-S.*

## „Vive Deibler“.

Teraz przynajmniej przyznać powinny nasze pisma katolickie — nie *polsko-katolickie* — że we Francji, owej „żydowsko-masońsko bezwyznaniowej” Francji — jak ją wymownie nazwali — nie tak jeszcze źle się dzieje, jakby się zdawało.

Poczucie moralne nie zamarło jeszcze! Wysiłki połączonych „żydów i masonów”, usiłowania różnych Wolterów, Renanów i t. p. nie zdołały do szczętu wyplenić tego, co zaszczepiła katolicka cywilizacja.

Najstarsza córa Kościoła i dziś, choć shańbiona przez „obce żywioły”, cech wybraństwa swego nie zatraciła.

Uwydatniły to świeże egzekucje francuskie.

Czegóż-bo nie czynili przeciwnicy kary śmierci, aby ją zohydzić — by przeciw niej wywołać niechęć i wstręt wzbudzić do niej w szerokich masach.

Jakich wysiłków nie podjęli owi żydowsko-masońsko-bezwyznaniowi działacze, by przed zasłużoną karą uchronić zbrodniarzy.

Sami zatraciwszy zmysł moralny, sami wyzbywszy się świętej, pobożnej nienawiści do zbrodni — chcieli wykorzenić wszelkie moralne poczucie i świętą żarliwość o słuszne karanie z serca tych, co ją zachowali jeszcze. Niepomni, że Bóg sam tylekroć za karą śmierci się oświadczył, rozkazując np. mordować Chananejczyków, gdy stawali w obronie swej przed żydowskim najściem — lub kamienować za zbieranie drzewa w Sabat, za drobne napozór naruszenie zakonu.

Gardząc świeższymi przykładami Kościoła, który właśnie z rozumnej, a głębiej pojętej miłości bliźniego nie wahał się ukochane owieczki Chrystusowe — za które Bóg sam z Nieba zstąpił i krew swą przelał, pobożnie palić w swoim czasie na setkach tysięcy stosów, — zuchwale, niepoprawnie, bez żadnych do tego prawnych tytułów, śmiąc tłumaczyć, że „nie zabijaj” znaczy poprostu „nie zabijaj”—kiedy to się przecie tylko do prywatnych osób stosuje, a rządy nietylko mogą, owszem *powinny*.

Ale oto fakty okazały, że płonne były wysiłki owych złych ludzi — i płonne obawy naszej pobożnej prasy.

Bo drżała ona, czy przewrotne argumenty apostołów bezkarności i demoralizacji nie zrobią swego — czy kara śmierci bezbożnym prawem zakazaną nie zostanie.

---

podstępnym złodziejem twojej piękności. Przekonasz się kiedyś o tym, że serce ludzkie żyje tylko młodością, że od pewnego kresu zaczyna ją wskrzeszać i we wspomnieniach oglądać. Znam cię oddawna. Od kilkunastu lat idzie ono ciągle za tobą jak gwiazda za siłą swego przyciągania. Nie przeczę, wiódł mnie twój urok, który działał na mnie mocą władzy i przeznaczenia. Od roku patrzę w twoją duszę a w mojej czytam: kocham cię, kochać muszę i kochać nie przestanę.

*Orla* Wierzę, że pan to czytasz, że w niej to napisane, ale czas te słowa zetrze. Pan jesteś tylko mężczyzną. Nie chcę was przerabiać, ani nawet oskarżać, ale uważam za istoty od nas odmienne, których nie lubię. Wy nieraz bywacie potęgą niemiłosierną, która obsiewa pola gradem, kiedy je potrzeba obsiać ziarnem. My, kobiety, jesteśmy albo pyłami drgającymi w smugach słońca, albo jego promieniami, które zawsze biegną w prostym kierunku i przenikają ciała przezroczyste. Wy obwijacie prawdę w fałsz, cnotę — w niemoralność, piękno — w brzydotę; my albo kłamiemy wszystko, albo nic. Nas obłuda dusi, wy ją wciągacie w siebie jak dym wonny. Przysłuchiwałam się waszym słowom i przypatrywałam się waszym czynom: najszlachetniejsi lubują się w zygzakach i mieszaniu dobrego ze złem. Każdy wasz zamiar musi się naprzód odbić jak kula bilardowa o kilka krawędzi, zanim dobiegnie do swej mety. Panie drogi, ja jestem dla ciebie zbyt prostolinijna, zbyt uboga w zmiany, zbyt sztywna, zbyt niepodatna do wszelkich zgięć i zakrętów w myśleniu i uczuciu. Zostaw mnie w spokoju, bo gdy mimo mojego oporu pociągniesz za sobą, będziesz mi tak złorzeczył, jak uprzykrzonemu światłu, które nigdy nie pozwoliłoby ci ukryć się w mroku.

*Arjos* A ja na to wszystko odpowiem: kocham cię. Skoro jestem nieprawy, daj sercu mojemu szczerość, daj myślom moim prostość, daj mi największą radość, jaką człowiek ma z życia, daj mi z nią siłę, której potrzebuję do spełnienia trudnych zadań. Jest to moją głęboką wiarą, że jeżeli rozejdziemy się, ty odejdziesz ode mnie i że najmniejszą resztą uczuć, jaka wtedy mogłaby pozostać w duszy mojej, byłaby wielka cześć dla ciebie. Nawet bogowie na tym poprzestają.

*Orla* Mam więc wejść w świat miłości, w świat zachwytów i obrzydzeń, w ten świat, w którym szereg słonecznych dni może się zakończyć nieskończoną nocą? Mam iść drżąca krawędzią strasznej przepaści? Zmiluj się pan nade mną! Zrobię dla ciebie wszystko, abym tylko nie musiała cię kochać. To niemożliwe! Zważ pan: stanąłeś na czele bojowników, którzy mają wywalczyć ludzkie prawa bohaterstwem i ofiarą, ale także podstępem, mordem, gwałtem — mnie to

Gdy w pierwszej Dumie wnoszono projekt o zniesieniu kary śmierci — *Przegląd Katolicki* wystąpił z wymownym umotywowaniem, popartym cytatami z Pisma św. — że bezbożnością byłoby projekt ten przyjąć — i biadał nad upadkiem uczuć moralnych w naszych czasach, które podobne stawiają żądania.

*Myśl Katolicka* niedawno jeszcze biadała, że nawet ci, co słusznie zresztą uznają za konieczną karę śmierci — nie doceniają jej znaczenia, uważając ją tylko za sposób usuwania szkodliwych członków społeczeństwa, zamiast zrozumieć, że tu idzie o *zadośćuczynienie sprawiedliwości*.

A ileż to było oburzenia, gdy garstka postępowych księży w czasach rewolucyjnych na zebraniu swym oświadczyła się za skasowaniem kary śmierci.

O mało, że o herezję nie zostali oskarżeni — o lekceważenie Pisma św — o wywyższanie się zuchwałe nad samego Boga, który karę śmierci miał zalecić i na Synie swym własnym ją przecie wymierzył.

Pochwalcie więc choć raz Francję — wy, katoliccy publicyści, co tak już poniewieracie ją zawsze. Powiedzcie, że nie wszystko w niej złe.

Postawcie ją choć raz za przykład naszemu społeczeństwu.

Zaśpiewajcie jej hymn pochwalny — jak dotąd ciskaliśmy na nią gromy.

Oto ona teraz mężnie odtrąciła od siebie pokusę.

Oto nie dała się w błąd wprowadzić bezbożnym zwolennikom zniesienia kary śmierci.

Oto „wrodzony jej", a przez tyle wieków pielęgnowany zmysł katolicki wziął górę nad żydowsko-masońską bezbożnością.

Oto świętobliwe tradycje najlepszych czasów przeszłości, gdy wiara katolicka niepodzielnie panowała — tradycje pobożnych czasów inkwizycji odżyły w duszach, w których przeszłość napróżno pogrzebać chciano.

Tradycje epoki, gdy serca papieży, jak Innocenty III, Grzegoż IX, Pius V radowały się na wieść o masowych rzeziach inowierców — gdy podpalanie stosów z heretykami było ludową uroczystością (choć owi heretycy nie wyrządzili wszak ludziom ani cienia podobnych szkód, jak owi zbrodniarze, gilotynowani teraz we Francji) — gdy ponurym procesjom, z prowadzonymi na śmierć ofiarami św. Inkwizycji towarzyszyły objawy pobożnej radości tłumów — gdy każdy wyraz współczucia lub niezadowolenia z podobnych egzekucji ściągał podejrzenie o herezję i baczną uwagę niezliczonych szpiegów ś. trybunału, gdy ś. Ferdynand pobożnie drwa dorzucał do wznoszonych stosów.

Zmysł moralny odniósł zwycięstwo.

Poczucie sprawiedliwości zatryumfowało.

I co ważniejsza. —

Za karą śmierci oświadczyła się nietylko izba — nietylko ministerjum — nietylko prasa — żądała jej nietylko *elita* społeczeństwa.

Toby dowodziło tylko, że w wyższych sferach, na wyżynach społeczeństwa francuskiego — zaczyna się dziać coraz lepiej.

Zmysł moralny objawił się w najpożądańszej formie tam właśnie, gdzie się go najmniej spodziewać można było — w warstwach gdzieindziej najbardziej znieprawionych—wśród żywiołów, stanowiących t. zw. *męty* społeczne.

Za karą śmierci przemawiali nietylko wybitni mówcy w parlamencie, i dalekowidzący mówcy, i mądrzy statyści, i różne podpory społeczeństwa, i różni ojcowie ojczyzny —

Ale *motłoch* uliczny!

Oto tryumf poczucia sprawiedliwości — oto znak niechybny odrodzenia się duchowego Francji — oto dowód, że wysiłki bezbożników poniosły klęskę, że budzić się zaczyna duch nowy.

Bo cóż świadczyć może wymowniej o zdrowiu duchowym narodu jeśli nie istnienie poczucia moralnego, instynktu sprawiedliwości — jeśli nie święta nienawiść do zła?

---

odraża, ja umarłabym z bólu, widząc cię pokalanego zbrodniami, chociażbyś je okupił szczęściem całej ludzkości. Mogłabym cię kochać tylko wszędzie, zawsze i za wszystko. Nie zostawiałbyś za progiem mojego mieszkania swoich złych czynów, lecz one wchodziłyby do mnie z tobą. Śród tych widm musiałabym mieszać moje pocałunki z krwawymi piętnami na twym czole. Nie, nie, nie!

*Arjos* Sądzisz mnie za surowo. Jeśli zgrzeszę, to jedynie spełnieniem woli, która naprzód nie była moją a potym stała się koniecznością. Życie nie wszystkie węzły swoje pozwala nam rozwiązywać, niektóre każe rozcinać. Nóż jest narzędziem mordu i uzdrowienia, wycięcie złej narośli jest czynem leczniczym a nie zbrodnią. Zapominasz o tych różnicach, które kiedyś staną się dla ciebie jasne. Nie chcę twojej miłości zdobywać ani namową, ani błaganiem, bo taka nie miałaby dla mnie wartości. Proszę cię wszakże o jedno: jeśli ona kiedykolwiek w twojem sercu narodzi się dla mnie, nie zamknij jej ust.. Ach, gdybyś ty wiedziała, jak ja ciebie kocham!

Ucałował jej rękę i zwrócił się ku drzwiom.

*Orla* Pan odchodzi... Co się ze mną dzieje... Mam dziś u siebie zebranie kobiet.. Czy ja zdołam skleić rozbite myśli? Idź pan już... Tak, trzeba zerwać tę nić, która między panem a mną się zasnuła, dopóki jest słaba... Pan będziesz zawsze dobry — prawda? Zawsze szczery — prawda? Zawsze mnie... Do widzenia.

Arjos oddalił się z trudem, jak gdyby przyrosłe stopy swoje od podłogi odrywał. Orla z oczami utkwionymi w drzwi stała długo, zmagając się z jakąś wewnętrzną siłą.

*Orla* Palą mnie jego spojrzenia, palą wyrazy, pali pocałunek... Padają od niego żary... Ogień wszystko niszczy, on spali moje serce na szczyptę popiołu. Zdawało mi się, że je zamknęłam w skrzynce z lodu. Topnieje... Spadam w toń rozpalonej lawy... Ratunku! Arjosie, bądź dla mnie dobry. Czemu ja cię widzę raz otoczonego blaskiem moich marzeń, to znowu odgarniającego je ze swej głowy, jak natrętną pajęczynę! Odejdź!... Ty z mojej duszy wypijesz słodycz i rozbijesz ją jak pustą czarę.

Drgnął dzwonek—Orla otworzyła drzwi. Zaczęły schodzić się kobiety, które wkrótce napełniły salę.

(d. c. n.)

A tę nienawiść, to poczucie sprawiedliwości objawił właśnie motłoch francuski — objawiły głośno na cały świat nawet t. zw. wyrzutki społeczeństwa.

*Niech żyje Deibler!* — brzmiało po ulicach miast gdzie odbywały się egzekucje.

Niech żyje kat — stróż prawa — symbol Bożej sprawiedliwości — pomocnik Boga na ziemi w sprawowaniu wyroków karzącej słuszności, ramię Boże, co dosięga głów winnych zbrodni, widoma ręka Opatrzności, co złych karze, a sprawiedliwych broni.

Niech żyje kat — nauczyciel świętych zasad moralności, co przykładem uczy nienawiści do złego, który jednym poruszeniem gilotyny głębiej zakorzenia obawę grzechu niż najwymowniejszy kaznodzieja w tysiącach misji.

Niech żyje kat — obrońca pokrzywdzonych a groźba dla złych, co nie napróżno z rąk Bożych miecz wziął i w imię Boże go używa.

Niech żyje kat — bez którego świat zmieni się w jedno wielkie miejsce zbrodni, a społeczeństwo stanie się pastwą najwyuzdańszych zbrodniarzy—

Bez którego zginie przemysł i handel, zginie spokój publiczny, mniej spokojnie spać będą poważni obywatele, potracą brzuchy solidni mężowie, rozstroją sobie nerwy cnotliwe matrony i delikatne ich córeczki, matki przyszłych pokoleń.

Kat — ten anioł-stróż, dla złych tylko straszny, dla nikczemnych tylko groźny, dla szaleńców niepożądany, dla bezbożników niemiły—

Niech żyje!

Tak wołał niegdyś prorok katolicki de Maistre twierdząc, że dla dobra świata dwie są najpotrzebniejsze osoby: *papież i kat.*

Tak woła dziś, po tylu latach anty-katolickiej propagandy, motłoch francuski.

Czyż nie znaczące, nie radosne dla serc katolickich zestawienie?

To, co pojmował tak jasno de Maistre, to stało się popularnym na ulicach miast francuskich, to stało się aksjomatem dla francuskich alfonsów, dla ulicznych kokot, dla paryskich „apache'ow".

Pobożne życzenia pobożnej katolickiej prasy zeszły się całkowicie z nastrojem „moralnym" ulicznej francuskiej gawiedzi.

Czyż nie cud to łaski?

Czyż nie tryumf katolickiego instynktu, pomimo wszystko — żywego we Francji?

Czy nie wstyd dla nas, gdzie nawet *elita* społeczeństwa jeszcze do tej wyżyny moralnych uczuć nie dorosła i brzydzi się karą śmierci.

Tak — choć raz pochwalcie biedną, tylekroć przez was spotwarzoną, tylekroć potępioną Francję — Ona zasłużyła na to.

Bo motłoch francuski oklaskuje egzekucje, z wybuchem radości wita gilotynę, z królewskimi honorami przyjmuje kata, z owacjami spotyka wykonawcę wyroków śmierci.

A wy upominaliście się o wyroki śmierci—a wy je uważacie za akt sprawiedliwości, za postulat konieczny niezanikłego jeszcze moralnego poczucia.

Pochwalcież motłoch francuski, że on jest dziś z wami — radość wyraźcie, że czuje on, jak wy czujecie, że francuskie alfonsy, apasze, kokoty, ulicznicy wyrazili to czynem, co wy na papierze, co wy w pobożnych waszych życzeniach.

Pochwalcie wy tych krzyczących na cześć Deiblera, przyłączcie się sami do tych owacji, postarajcie się może o papieskie błogosławieństwo dla tej ulicznej ciżby.

Ten dowód życzliwości Apostolskiej Stolicy do reszty ich przejedna, utoruje może tryumf dla Kościoła we Francji.

Wszak „śmiecie świata Bóg wybrał, aby pohańbił pyszne".

Pochwalcie głośno — nie wstydźcie się.

A jeśli wstydzicie się przyznać do łączności z wyrzutkami francuskiego społeczeństwa — jeśli wzdryga się wasze poczucie ludzkie na myśl o tych haniebnych owacjach — jeśli piętno zwyrodnienia widzicie na czołach tego zbrodniczego tłumu, który kata witał, jak nie przywitałby narodowego bohatera. —

To czy tym samym nie stwierdzacie sami, że pomimo wszystkich argumentów na korzyść kary śmierci, na przekór wszelkim sofizmatom i racjom stanu — wzdryga się na nią zdrowy instynkt ludzki, że potępia ją w was nawet, zwolennikach jej, poczucie ludzkie, że współczesne sumienie silniejsze w was, pomimo wszystko, niż wasze argumenty.

Czy nie stwierdzacie tym samym, że *z karą śmierci skończyć już trzeba?*

Miejcież odwagę choć raz być konsekwentnymi.

*Antoni Szech.*

# Kościół i narodowość w Litwie.

(Dokończenie).

4) Lud litewski zwycięzko oparł się zakusom rusyfikacyjnym i odczuwając całą szkodliwość okólnika Kaufmana, zabraniającego wszelkiego druku i handlu wydawnictw litewskich, drukowanych czcionkami łacińskimi, zbojkotował książki drukowane Grażdanką. Zapas książek religijnych litewskich wydanych z przed 1865 roku wyczerpał się prędko. Po zakazie druków rychło, bo już od roku 1867 zaczynają wychodzić w Litwie Pruskiej książki do nabożeństwa i wogóle o treści religijnej Książki te były wydawane przeważnie z fałszywym wykazaniem miejsca i roku wydania oraz fałszywą aprobatą cenzury. Ze względu na popyt wytworzyła się i ustaliła regularna kontrabanda książek do nabożeństwa, a wydawnictwa same zaczęły mieć charakter spekulacyjny. Walka rządu z wydawnictwami litewskimi, z ich kontrabandą i kursowaniem w kraju stała się wkrótce bezwzględną. Bywały wypadki, że rewidowano włościan, wychodzących z nabożeństwa i konfiskowano książki litewskie; brano od ludu zobowiązania, że nadal książek litewskich mieć i czytać nie będą. Przy takim sposobie kolportowania książek, przy stałej walce rządu z drukami litewskimi, dalsze okolice, odleglejsze od granicy pruskiej były obsługiwane dość niedbale i włościanie litewscy, zwłaszcza w okolicach kresowych, nie mogąc kupić książek litewskich zaopatrywali się w polskie książki do nabożeństwa i katechizmy, ucząc się z nich języka polskiego i zatracając swe odrębne cechy litewskie. I znów rząd pośrednio przez zakaz druków przyczyniał się do rozszerzenia wpływów polskich.

5) Polityka rosyjska w Litwie przez ostatnie czterdziestolecie wyrażała się w bezwzględnym tłumieniu wpływów polskich i wyjęciu z pod prawa społeczeństwa polskiego. Represje jednak, jakie spada-

ły na naród polski, były przez miejscowe władze uogólniane na całą ludność katolicką, bez różnicy narodowości i przeradzały się z narodowościowych w wyznaniowe, co tym ściślejszym węzłem zespalało całą ludność katolicką i urabiało w niej poczucie odrębności.

Przytoczyłem cały szereg argumentów, by obalić stale powtarzany przez Litwinów zarzut, że kościół na Litwie spełniał misję polonizatorską i że kler polski prowadził agresywną politykę, dążąc zwłaszcza w dyecezji wileńskiej do spolonizowania żywiołów litewskich. Bezwarunkowo prawdą jest, że w wielu wypadkach kościół miał zabarwienie polskie — zabarwienie to jednak bynajmniej nie wypływało z dążności agresywnych nader biernych i oportunistycznych sług kościoła, a z dziwnie układających się stosunków ogólnej polityki państwowej, która swymi zarządzeniami, mającymi na celu odcięcie Litwy i Białorusi od ciążenia kulturalnego do Polski, wzmacniała wpływy polskie w łonie kościoła katolickiego, nadając mu zabarwienie polskie.

Bezwarunkowo winą administratorów djecezji Wileńskiej było to (o ile winę tę nie należy przypisać ówczesnym warunkom), że wykład języka litewskiego do ostatnich czasów nie był uwzględniany w planie nauki w seminarjum wileńskim, a wtedy władzom djecezjalnym nie stawianoby zarzutu, że przy obsadzaniu probostw nie brano w rachubę znajomości języka miejscowego ludu, gdyż wszyscy księża mogliby godnie sprostać owemu zadaniu. A że zarzut ten miał w przeszłości swoje uzasadnienie, może świadczyć artykuł ks. K. Majewskiego, umieszczony w *Przeglądzie Katolickim* (Nr. 44, 1908 r.) w którym ks. M., broniąc od napaści kler polski, z całą szczerością przyznaje się, że będąc duszpasterzem parafji litewskiej, nie posiadał języka litewskiego i posługiwał się w stosunkach z ludem językiem polskim.

Dziś stosunki te, musimy zaznaczyć, uległy znacznej sanacji i sami Litwini w memorjale, złożonym Papieżowi (De lingua Polonica in ecclesiis Lithuaniae Supplex libellus Suae Sanctitati Pio X Papae omnibusque S. R. Catholicae Ecclesiae Cardinalibus a Lithuanis oblatus) po nader skutecznym obliczaniu wskazują zaledwie 29 miejscowości litewskich, gdzie księżmi są Polacy lub „polonomani".

Ja z tej liczby zakwestjonować mogę litewskość 4 parafji: Troki, Troki Stare, Troki nowe i Jewie, jak również zakwestjonuję nieznajomość języka litewskiego ks. Deksieisa, proboszcza w Piwaszunach i ks. Szymetunasa z Giełwan, pozostaje więc obecnie 23 upośledzone parafje, w których pomimo tego, że mieszka ludność litewska, niema kapłana mogącego zadowolnić potrzeby religijne w języku ojczystym.

Większość tych parafji leży na kresach etnograficznej Litwy, gdzie proces białoruszczenia poczynił znaczne postępy, gdzie młodzież zapomniała już języka litewskiego i drwi z mowy swych ojców. Nic dziwnego więc, że obsadzanie tych parafji przez księży Polaków jest bolączką Litwinów, że z żalem patrzą oni jak fala białoruska zalewa ziemie litewskie coraz bardziej zacieśniając ich granice etnograficzne na korzyść Białorusi. Czy jednak zdołają oni na tych zagrożonych placówkach obudzić ducha narodowego, czy uda się im rozdmuchać niknący płomyk — w to mocno wątpię — zbyt głębokie korzenie zapuścił proces białoruski, zbyt oderwana już jest ludność od pnia macierzystego, by się z łatwością dały nawiązać potargane nici. Ze strony jednak polskiej nie powinny być stawiane przeszkody w tych usiłowaniach Litwinów odrodzenia zmartwiałych szczepów swego plemienia. Historja pokaże czy usiłowania te nie były pracą Danaid.

W imię demokratyzmu musimy stanowczo jednak zaprotestować i potępić działalności niektórych klerykalnych zbyt niepohamowanych zwolenników odrodzenia ludowego, którzy szerzą swą ideję gwałtownymi środkami, uciekając się w swej działalności do fałszu, kłamstwa, a nawet, w zatargach ze zbyt uporczymi owieczkami, do interwencji policyjnej. (Ks. Juchnis w Oławie)

Musimy podkreślić, że kierunek klerykalny w społeczeństwie litewskim przeradza się w znacznym stopniu w skrajny nacjonalizm. Unikając stanowiska klasowego, akcja klerykalna zwraca się przeciw wysiłkom radykalistów litewskich, skierowanym do pogłębienia rozwoju społecznego na podstawie czynnika potrzeb ludności. Ponieważ jednak istnienie zagadnień socjalnych nie mogło być zaprzeczone, przeto rozmyślnie spekulowano, budząc najniższe instynkty nacjonalistyczne, stwarzając insyunacyjną teorję niebezpieczeństwa polskiego — by odwrócić uwagę od dziedziny społecznej. Nacjonalizm skrajny księży to beztreściwa przygrywka bojaźni przed pogłębieniem społecznym i przed zróżniczkowaniem wewnętrznym, podkopującym wpływy polityczne kleru.

Szkoda tylko, że dziś w chwili ogólnej apatji — gdy wielkie hasła dni wolnościowych umilkły — głos klerykałów w społeczeństwie litewskim góruje nad innymi, dyskredytując działalność inteligiencji świeckiej i zaszczepiając ludowi niezdrowe ziarno wyłączności narodowej.

Popieram całkowicie dążenia ks. Michałkiewicza, który pragnie szczerze abstrakować kościół od wpływów pobocznych i ukrócić rozpolitykowany kler tak litewski jak i polski, by nie dopuścić do propagandy i walki politycznej na terenie kościoła. Jeżeli sprosta temu zadaniu — to łatwiej może nastąpić porozumienie obojga społeczeństw, tak pożądane dla ogólnego dobra kraju.

*P. Zubowicz*

# BADANIA NAUKOWE.

## Wolna Myśl a nauka i społeczeństwo.

II.

Co odpowiedziała kosmologja na postawione przez G. Séailles'a pytanie: *Dla czego dogmaty nie odradzają się*? jużeśmy się dowiedzieli. Kosmologja atoli jest nauką od życia oderwaną. W życiu powszednim zarówno społeczeństwa jak i jednostki, Etyka nas wiedzie, nami rządzi. Co ona odpowie na powyżej postawione pytanie, rozwija autor następnie.

Wierny zasadzie, że „żeby sądzić, jest rzeczą konieczną *rozumieć*; kto nie uchwycił *prawdy* zawierającej się w *błędzie*, ten nie jest prawdziwie wyzwolony", autor rozpoczyna swą rzecz od przedstawienia zasadniczych zasad Etyki chrześcijańskiej.

Etyka Starożytna pomimo różnorodności systemów streszcza się w tej formule: *sequere naturam*, idź za naturą. Iść za naturą nie znaczy oddać się instynktowi, wydać się na łup kaprysów zmysłowości, człowiek powinien być człowiekiem, zrozumieć, czym jest, żeby się nim stać; jeżeli dąży za naturą, to z warunkiem, że będzie posłuszny rozumowi. Jeżeli natura i rozum bynajmniej nie przeczą sobie, lecz zgadzają się, a w gruncie są jednym i tym samym, jeżeli właściwą funkcją rozumu jest rozumienie natury, żeby ją urzeczywistniać, nauka jest mądrością, dobro moralne jest dobrym naturalnym, zawierającym cnotę i szczęście, a to, co nazywamy grzechem, jest tylko błędem rozumu, ponieważ dobrowolnie nikt by sobie źle nie życzył. Człowiek, zwierzę polityczne, uzupełnia swą naturę i wznosi się do egzystencji ludzkiej

tylko w społeczeństwie... Etyka przeto starożytna nie oddziela szczęścia od cnoty, za cel człowieka uważa osiągnięcie najwyższego dobra, zasady moralności ludzkiej doszukuje się w rozumie, czyniąc z najwyższego dobra cechę mądrości.

W zasadzie etyki chrześcijańskiej jest ideja nowa i przeciwna, ideja *winy*, grzechu. Natura nie jest dobra, nie dąży do dobra i harmonji, bezwiednie w rzeczach, widocznie w człowieku, w którym staje się świadomością siebie i rozumem; jest zła, nieuleczalnie zła, a pozostawiona sama sobie, może wytworzyć tylko nieład i zło. W człowieku jest panowaniem ciała, egoizmu, źródłem wszelkich namiętności przewrotnych, pomocnikiem Szatana, wytworzonej przez chrystianizm istoty; poza człowiekiem — środowiskiem tragicznym, nad którym się unosi gniew boski, mszczacy się panowaniem cierpienia i śmierci. Człowiek więc jako twór przyrody jest wyrodzony, zepsuty, jest synem grzechu, umarłym dla życia duchowego. Przeto nie wystarcza znać dobro i zło, znać siebie samego, żeby osiągnąć najwyższe dobro. Należy przez akt, który wszystko, co było, rozpoczyna na nowo, przez kryzys woli „nawrócić się”, zmienić serce, zwrócić oczy ducha ku przedmiotom, których oczy cielesne zgoła nie widzą. Dobro nie polega na uzupełnieniu natury, lecz na jej pokonaniu. Chrześcijanin umiera na ciele, żeby się odrodzić i odżyć na duchu. Mędrzec staje się *świętym*.

Nauka przestaje być narzędziem mądrossi. Gdyby nawet zeszła do głębi natury, nigdyby nie wyprowadziła z niej czystego źródła; zamiast nauki zjawia się *wiara*. Wiara jest aktem woli i porywem serca; przynosi ze sobą pojmowanie rzeczy, znajdujących się poza rzeczywistością przyrodzoną; jest ufnym oddaniem się, miłosną i zrezygnowaną uległością słowu i wyrokom boskim. Przez wiarę spełnia się odrodzenie duchowe. Duch przebywa w człowieku odrodzonym. Najprzedniejszym owocem ducha — jest Miłość.

Jak Wiara zastąpiła Naukę, tak Miłość staje się dla chrześcian tym samym, czym była mądrość dla starożytnych, pierwiastkiem cnót wszelkich. Ale ową miłość nie należy rozumieć po ludzku. Jest to uczucie metafizyczne, mistyczne, religijne. Kochamy swych bliźnich nie dla nich samych, lecz dla przypodobania się Bogu. Głębiej jeszcze wziąwszy, miłość jest to połączenie się z Bogiem Ojcem, uczestniczeniem w jego istocie i miłości, konkretnym i żywym uczuciem synostwa boskiego, które czyni wszystkich ludzi braćmi, nie ze krwi, która płynie w ich żyłach, lecz z tego, że we wszystkich odnajduje się Miłość, z której są zrodzeni.

Tej etyce, której pierwszym dogmatem jest zepsucie natury, odpowiada nowe pojęcie najwyższego dobra, to jest połączenie szczęścia i cnoty. Dla starożytnych harmonja między naturą a rozumem pozwalała na to, żeby przeznaczenie człowieka spełniło się tutaj na ziemi. Według chrześcijanizmu przeciwnie wszystko jest zastosowane do życia przyszłego, które jedynie może rozwiązać tajemnicę życia teraźniejszego. Ziemia jest miejscem wygnania dla duszy, ciało jej więzieniem. Dusza staje się z powrotem sobą w miarę tego, jak przez swoje myśli i pragnienia już umyka z niego i żyje życiem duchowym. Cnotą jest miłość, to znaczy ukochanie Boga i ludzi przez miłość Boga i dla Boga. Szczęście polega na posiadaniu Boga. Cnota więc jest tylko początkiem szczęścia, ponieważ na nie zasługuje. Najwyższe szczęście nie jest z tego świata, nasze przeznaczenie spełnia się w innym życiu.

Wiara, wywołana tym oczekiwaniem, wiara, jako wierzenie w przyszłą i konieczną rzeczywistość najwyższego szczęścia, staje się nową cnotą, *nadzieją*. Lecz cnoty te nie zależą od woli ludzkiej. Nie rodzą się one z nauki, która wymaga przyczyn dających się dowieść, tym mniej jeszcze nie pochodzą z natury, która im jest wroga i zaprzecza ich. Wymagają one natchnienia zmysłowości, pomocy bożej, aktu *łaski*: Duch wieje gdzie chce.

Lecz arcydziełem etyki chrześcijańskiej było to, że nadała znaczenie i wartość nieskończoną *cierpieniu*, czyni z niego coś boskiego. Bóg przygarnia nędze najbardziej nieznane, najskrytsze, najpokorniejsze, ażeby je wprowadzić do błogości i chwały. Jezus syn boski i sam Bóg, zstąpił na ziemię, wziął na się wraz z naszym ciałem wszystkie niemoce ludzkie. Z punktu widzenia tego świata został on zwyciężony. Chrześcijanin nie wie, co to zwyciężony w życiu. Cierpienie bowiem jest dobro i posiada wartość samo przez się.

Streściwszy w taki sposób za autorem zasadnicze podstawy etyki wraz z nim zapytamy, czy ta etyka jest jeszcze naszą, czy nie jest, mówiąc prawdę, zjawiskiem historycznym, należącym już do przeszłości. Ludzkość żyła dwa tysiące lat, stworzyła naukę, przemysł, powiększyła w niespodziewanym stosunku swe środki działania; jakżeby mogła zachować bez zmiany ideję o przeznaczeniu człowieka i jego celach? Jest w tym prawdziwy absurd psychologiczny. Przez to samo, że w ciągu wieków była przewodniczką najlepszych z ludzi, że miała swych męczenników i świętych, etyka chrześcijańska zachowuje czar i urok, jakie posiadało piękne życie tych wszystkich, których ona była natchnieniem. Lecz w rzeczy samej, ponieważ gardziła sprawami ziemskimi i społecznymi, ponieważ to, czego zaniedbywała lub nie znała, coraz i coraz więcej nas interesuje, ponieważ to, co dla niej było obojętne, nas coraz i coraz bardziej roznamiętnia: tam, gdzie są jej luki, tam są nasze potrzeby najpilniejsze.

Etykę tę możemy nazwać bezlogiczną. Jest bowiem inna jeszcze z której ona powstała, na której się rozwinęła: Etyka bardziej stosowana. Zawierają ją Ewangielje. Twórcą jej jest Jezus.

Etyka jego jest etyką oczekiwania i próby. Niechaj człowiek odda swój majątek biednym i nie troszczy się o jutro, niechaj nie ucieka się do sprawiedliwości ludzkiej, nie chodzi przed trybunały, nie opiera się złu; gdy mu kto zabierze suknię, niech mu jeszcze odda i płaszcz i gdy go kto uderzy w policzek prawy, niechaj mu nadstawi i lewy. I cóż zależy na cierpieniu? Nie chodzi o to, żeby je zwalczać, usuwać tutaj, lecz znosić cierpliwie, gdyż ta forma świata zniknie i dnie są jej policzone...

(D. C. N.) *J. Radliński.*

# LITERATURA i SZTUKA.

## Savitri.

„Pieśni Walki” — „Poezje”.

Poza poprawnością formy, która jest niezbędnym warunkiem jakiegokolwiek artystycznego wypowiedzenia się, poezja zaczyna się dopiero tam, gdzie słowo przestaje być tylko zlepkiem sylab, pewną ilością odpowiednio zaakcentowanych zgłosek, gdzie zdanie nie jest na język dźwięków przetłumaczonym znakiem porozumiewawczym niemowy, gdzie plama każda oddaje coś więcej, niż kontur jakiegoś przedmiotu, a dźwięk — coś więcej, niż zawarte w nim rzeczowe pojęcie. Duszy szukamy w poezji. Nie wzrokiem ją czytamy, ale jakimś szóstym zmysłem, czulszym i wrażliwszym od innych, a najmniej ze wszystkich nasyconym. Jak wierni do stołu pańskiego, zbliżamy się do niej po łaskę zbratania się z czymś, co jest niedosięgłe, nieobjęte, dalekie, a jednak czasem otacza nas całych, w prześwietlone pogrąża przezrocza, i każe wspominać lub zapominać, boleć, radować się, a przedewszystkim czuć, czuć wszystkimi fibrami duszy.

Padają słowa nieme i obojętne, błąka się myśl jak wzrok po zatraconych w mroku obrazach i nagle, jeden dreszcz, jedno zmrużenie powiek: coś się zaczyna dziać, coś się przed nami otwiera... Tak wschodzi słońce wpośród śnieżnych szczytów — i taką jest chwila poznania z poetą.

Czytałem „Pieśni walki" Savitri, te pieśni o których mówi poetka, że są one zrodzone „pod więzień sklepieniem", „wśród rzezi ulicznych czerwonej topieli, wśród czynów szalonych i ślepych rozmachu"; starałem się wżyć w te chwile, których echa znam tylko; z kartek książki szły ku mnie „Skargi", „bezdenne rozpacze" „i cicha, bezbrzeżna tęsknota". Gdzieniegdzie pod wierszami umieszczone daty dopowiadały mi resztę, ale w myśli dzwięczał mi głębszy w swym bólu i pełniejszy w wyrazie wstęp do „Bezimieńców" Słońskiego, a przedewszystkim uprzytomniałem sobie samą chwilę, tak tragiczną i powikłaną w rzeczywistości, że pieśni te, które miały być jej odbiciem, zbyt mi się jeszcze wydały nikłymi. Pod poetycką zaprawą ginęła nuta bezpośredniości, zatracał się pewien odsetek odczuć i wrażeń.

Ale, jest w „Pieśniach walki" jedna kartka, która zmusiła do milczenia mój sceptycyzm i przekreśla wszystkie dopieroco postawione im zarzuty:

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
a silną pręgę masz przez szyję...
Zrywam się z krzykiem: — Już umarłeś!
Ty odpowiadasz cicho: — Żyję!
. . . . . . . . . . . . . . . .
Przychodzisz do mnie noc po nocy,
i ja całuję usta blade,
na serce chore miłowaniem
twoją męczeńską głowę kładę;
Przychodzisz w straszną noc bezsenną,
a z twego czoła wieje zgroza...
Całuję zimne twoje usta
i siną pręgę od powroza.

Twoją męczeńską głowę pieszczę,
Z której już mózg wyżarły żmije ..
Na lęk nieludzki: — Już umarłeś!
ty odpowiadasz cicho: — Żyję!...

W tym wierszu poznałem w Savitri poetkę. Z taką prostotą przemawia tylko prawdziwy ból — takim bólem przemawia tylko poeta. Niema tu wstrząsających och! i ach! niema tych sztucznych wzmacniań pojęcia, czy określenia za pomocą „mocarnych" przymiotników — obraz sam mówi za siebie i mówi więcej, niżby się w najjaskrawszych opisach powiedzieć dało.

Ale wiersz ten posiada jeszcze inną, wybitnie charakterystyczną dla Savitri cechę: cała jej twórczość przepojona jest szczerą i głęboką idejowością. „Święta Ideja, ta dostojna Pani", mówi ona w innym wierszu, zwabiła ją „lichym łachmanem i raną zr - piałą" i tym że każe urastać „w bezmiary", więc za to kocha ją poetka „każdą swą ofiarą", więc ku niej podźwignąć by chciała ludzkość całą — „bo wielka miłość, wielki ból tak każe".

„Ta wielka miłość" i „wielki bó " stanowią ideję — motyw przewodni „Pieśni walki". Dźwięczy on również w świeżo wydanym (Warszawa, Gebethner i Wolff) tomie „Poezji", ale tu wyrywa się już poetce taki bolesny sarkazm:

Mój piękny ból, mój wielki ból,
w nim szczytnie dusza kona,
niby draperji ciężkich zwój,
opływa mi ramiona.

Lecz ja ten płaszcz szkarłatny płaszcz,
Królewskie mąk przepychy
odprzedam, byle chciał kto wziąć
za szczęścia łachman lichy.

W tomie tym są zresztą przebłyski tego „szczęścia" Wprawdzie jest ich tak mało, że wystarczyło ich poetce zaledwie na wykonanie ki kunastu „rzeźb z lawy", a potym znów grzmi pieśń bojowa „jako grzmoty surowa i twarda"; ale ta lawa jest taka gorąca, a rzeźby tak piękne, że przypominają one rzeczywiście swym wykonaniem te cacka neapolitańskie, w których kochają się wykwintni kolekcjonerzy:

A kogo ukocham, to raj mu otworzę,
gdzie będą świetliste jutrzenki i zorze,
gdzie róże i mirty cicho nas owioną..
Skroń jego ozdobię złocistą koroną,
on będzie mym królem i duszy mej panem,
owładnie królestwem cudownym, świetlanym.
Ja zbudzę mu w piersi drzemiące orkany,
dam taką potęgę, że zwalczy tytany,
że tłumy podźwignie wszechmocnym ramieniem
i łunę pożaru zagasi swym tchnieniem.

Krótki jest przeciąg czasu, który dzieli wydanie „Pieśni walki" i „Poezji", przypuszczam nawet, że w świeżo wydanym tomie zostały umieszczone utwory powstałe w rozmaitych epokach, pomimo to nowa ta serja poezji wskazuje na wyraźny postęp nawet w stosunku do poprzedniej. Wiersz staje się tu coraz bardziej giętki, obrazowanie coraz bogatsze. Autorka za często jeszcze używa zaimka przy formach czasownika tam, gdzie jest on zbędnym, ale drobne te usterki opłaca sowicie jędrność i wyrazistość jej stylu.

Nietylko jednak pod tym czysto technicznym względem talent Savitri wykazuje nieustający rozwój; w „Poezjach" czuć ślady głębokich myślowych porachunków, coraz szersze i wszechstronniejsze ogarnianie kręgów życia, do którego autorka umie się już zwrócić z takimi słowami:

Nie dałeś mi marzeń i snów lazurowych,
Lecz dałeś czyny kowane w granicie,
pisane w wyrazach ognistych, gromowych!
Dziękuję ci, życie!
Nie dałeś mi szczęścia, lecz dałeś wspomnienia,
Zgasiłeś me słońce, nim było w zenicie,
Włożyłeś w me usta majestat milczenia,
Dziękuję ci, życie!

A kto w taki sposób potrafi podsumować choćby kawałek swego życia, dla tego ono i nadal nie będzie zamkniętą księgą...

*Stefan Gacki.*

# Jeszcze jedna... „Rewolucja"...

(Z powodu powieści Tetmajera „Król Andrzej").

Jeszcze jedną „rewolucję"... smaku artystycznego przeżyliśmy z Tetmajerem w jego „Królu Andrzeju".

Droga, którą przebiegł w swej twórczości Tetmajer, zawiera kilka zwrotów zasadniczych. Tęsknoty pesymistycznie nastrojonego indywidualisty i sensualisty wydają niezapomniany okrzyk „Otchłani": „Zróbcie ludzkość przedewszystkim szczęśliwą", wyjawiający nam rozdźwięk między abstrakcyjnym człowiekiem, realizującym swe prawo w dążeniach społecznego dobra i sprawiedliwości a osobistością konkretną. Nie są to dwie przykrywające jedna drugą płaszczyzny. Dobro i szczęście — to nie siostrzyce, lecz często wrogi. I ironiczny, smutny uśmiech zawiedzionego hedonisty cały jest po stronie jednostki konkretnej, jej realnego bólu.

Po cudzych, niezapomnianych lirykach, po „Aniele śmierci", „Pannie Mary", „Otchłani" i „Zatraceniu" egotysta przekwitnął i zapragnął nowego

tonu. Zapragnął pokonać własne hedonistyczne „ja" i zatracić je w modlitwie ku wielkości. Powstał „Zawisza Czarny". Złamane szczęście osobiste, lecz ponad nie wyrasta rycerz, twierdząc niezłomnie: „Muszę zwyciężyć".

Gorkij w swym proteście przeciwko powszedniości mieszczańskiej, odkrył świat „bosaków", ze wszelkich norm wyłamany. Tetmajer w swym kulturalnym przerafinowaniu, w swym znudzeniu wiecznego analityka i bezidejowca runął w radosnym uniesieniu na piersi Tatr. I tam znalazł wcielenie swych tęsknot ku życiu innemu — znalazł ludzi natury, ludzi pierwotnych i mocarnych. W odkryciu zbójników i juhasów spoczywa znaczenie nie tylko ludoznawcze: w nich odkryto nowy typ życia szerokiego, śmiałego, pozbawionego formułek, pełnego owej modlitwy ku wielkości i ku wielkiej prostocie. Storczykowy liryk przeobraził się w rapsoda.

W ostatniej zaś rzeczy: „Z wielkiego domu", objawił Tetmajer zmysł satyryczny, który przebłyskiwał już nieraz w jego dawniejszych utworach powieściowych. Znać tam wprawne dotknięcie obserwatora, doskonale panującego nad rzeczywistością.

Zaś w „Królu Andrzeju", przeładowanie nader przezroczystą aktualnością i jawną tendencją, oraz długimi kombinacjami dyplomatyczno-politycznymi, bardzo problematycznej wartości — osłabia wrażenie artystyczne i przypomina nam z jednej strony smutnej pamięci „Rewolucję" tegoż autora, z drugiej — „Doczesną potęgę" Marji Corelli, autorki angielskiej. Oczywista, że powieść pisana przez neo-chrześcijankę i utopijną zwolenniczkę rewolucji pokojowej, a powieść pisana przez polskiego imperjalistę i „egoistę narodowego" nie mogą mieć wiele wspólnych rysów idejowych. Lecz w trawestacji króla w M. Corelli i w trawestacji księżniczki Teresy Metelli wśród zwycięzkich demokratów, w romansie królewsko-demokratycznym, w ogólnym nastroju powieści, wielbiącym dobroczynną rękę jedynowładcy, jest coś, co nieuchwytne wykazuje pokrewieństwo, może zupełnie bezwiedne.

Powieść Tetmajera jest bezwątpienia interesującą lekturą, zwłaszcza — w wagonie lub buduarze. Lecz jest to beletrystyka, nie sztuka. Na Tetmajera to za mało. Tylko w jednym miejscu czujemy artystyczne, czarujące pióro dawnego Tetmajera: w rozmowie króla Andrzeja z małym synkiem Jerzykiem, oddającej doskonale uroczy świergot dziecięcy. I tu podobny motyw słabości ludzkiej, jak u Bodzanty w „Dziejach Grzechu": król Andrzej chętnieby się zrzekł korony, uznając słuszność żądań demokratycznych, lecz nie czuje się na siłach, by pozbawić korony swego syna... Denerwujące poetyzowanie takich kompromisów: niedaleko świat zajdzie z nimi!

Pomijając wysoce nietaktowne i niesmaczne drwiny z literatów postępowych, znajdujemy w „Królu Andrzeju" niejedną perełkę społeczno-polityczą. Jenerał Woda kazał strzelać w tłum, ale... jest taki zasłużony i tak podniósł potęgę militarną kraju! Król Andrzej wbrew mniemaniu malkontentów jest najlepszym człowiekiem, a jego wadą jedyną... że nie umie pokazać zębów i wciągnąć kraju w wir zdobyczy napoleońskich, jak ten niezrównany, gienjalny, wszechwidzący Polan (chociaż nim kieruje jedynie ambicja osobista, lecz... nienawiść do Niemców ze wszystkiego rozgrzesza). Jedyny sympatyczny wśród „tego motłochu", socjalista Marko Slavicz dlatego jest sympatycznym, że sprzyja imperjalistycznym dążeniom Polana, bo jest człowiekiem trzeźwo patrzącym na rzeczy, podobnie jak sympatyczny mistrz Zaskalicz. I z całego biegu powieści wynika, że jedyne zbawienie dla „Południowej Słowiańszczyzny" — to stać się państwem „pierwszorzędnym", przy sposobności nadszarpnąć własności sąsiada, pomyślną wojną, à la Japonja, podnieść swe znaczenie międzynarodowe, oprzeć się na ciemnych instynktach mas, a broń Boże, nie ruszać proboszcza, bo wszystko runie. Widzimy tu różaniec „życzeń pobożnych", którym z pewnością Koło polskie pobłogosławi. I może niepopularność Koła zleje się i na tendencję powieści, pozostawiając ją jednak w salonach, jako lekką lekturę.

Opowieść roztacza się po sienkiewiczowsku malowniczo i epicznie o tyle, że nie odrazu nawet zgadujemy, która z tych postaci papierowych jest traktowana poważnie, a która satyrycznie. Lecz w końcu niezaprzeczenie poznajemy tę pięść, co w kieszeni wygraża na zachód, uprzejmie dyplomatycznie – lokajsko-tajemniczo-neosławicznie kłaniając się na wschód.

*Savitri.*

**Leon Tołstoj**, studjum krytyczne, napisał Jan Bełcikowski. Wyd. *Nowości Literackie* t. V r. 1908.

Nietzsche w jednym z aforyzmów boleśnie zranił ambicję literatów jałowych, którzy nim coś napiszą, muszą pierwej zawsze coś przeczytać. Złagodziwszy ostrze jego okrutnej ironji, przyznać musimy, że książka nieraz wymowniej świadczy o tym, co autor przeczytał, niż o tym, co przemyślał. Sugiestji, jaką wywierają rzeczy raz wypowiedziane, sądy raz sformułowane, oprzeć się tym trudniej, im rozleglejszy obejmują horyzont. Dokoła postaci i sławy Tołstoja wyrósł cały las krytyki; w ciągu lat 50-ciu las ten potężniał, zataczał się coraz szerzej, aż pod koniec zmienił się w prawdziwą puszczę najróżniejszych opinji, poglądów, sporów i teorji, które ogromem swym jęły przysłaniać ogrom człowieka. Imię Tołstoja stało się tarczą obrony lub orężem natarcia w niezmordowanych bojach akademickich. Rozbrzmiewa ono w aulach uniwersyteckich Wschodu i Zachodu; grzmi z ambony kaznodziejskiej i z trybuny ludowej uderza w serca tłumu. Imieniem jego ludzie błogosławią siebie i przeklinają. Zasłania się nim wyniosła powaga idei a zarazem rubaszne prostactwo zabobonu. Żaden moralista, żaden teolog czy metafizyk, esteta czy polityk nowoczesny nie uważał systemu swego za ukończony, dopóki jednego rozdziału w całości nie poświęcił Tołstojowi; każdy miał coś do nadmienienia w zakresie swej specjalności. Z dzisiejszej literatury rosyjskiej najdrobiazgowsza analiza nie wydestyluje już nigdy tych pierwiastków, tych wpływów i prądów tajemnych, którymi nasycił ją duch Tołstoja, równie jak nie wyosobni i nie wykreśli też wpływów Dostojewskiego. Dymitr Mereżkowski napisał gruby tom, aby nanizać na nić krytyki bezwzględnej wszystkie błędy potworne, tkwiące w umyśle Tołstoja, wszystkie fałsze, tkwiące w jego życiu. Daleki jestem od ich przeoczenia. Jakże jednak w swoich błędach musiał być wielki ten umysł, jak żywiołowo potężne w swej pracy to życie, skoro tak ogromnie zaciężyły na sumieniu Europy w ciągu półwiecza, żyjącego najbardziej gorączkowym, urywanym oddechem. Otóż studjum p. Bełcikowskiego nie daje bezpośrednich wrażeń z odczucia doniosłości i potęgi Tołstoja; krytyk nie obszedł twórczości jego dookoła, nie ogarnął jej szerokim wejrzeniem z takiej odległości, aby ocenić mógł jej całokształt.

Czytając pracę p. B., odnosi się wrażenie, że autor zabłąkał się wpośród zdań i rozpraw obcych i zagubił drogi orjentacji własnej; że do proga gienjalnej indywidualności wielkiego artysty nie dotarł, opowiada zaś jedynie echa i pogwary tego, co od innych usłyszał.

Ale i w takich warunkach p Bełcikowski mógłby obdarzyć czytelnika polskiego dziełem pożytecznym, gdyby umiał przetopić w syntezie samodzielnej wyniki prac dotychczasowych, zestawić je ze sobą,

sprawdzić na całym obszarze rzeczy konkretnych, stąd dobyć światło nowe i rzucić je na olbrzymi posąg, w który dla oczu Europy stężała nieruchomo przygniatająca wielkość samotnika z Jasnej Polany. P. Bełcikowski wszakże w usiłowaniach swych nie idzie dalej po za splatanie i rozplatanie cudzej przędzy myślowej. Najwięcej ma autor zaufania do orzeczeń Mereżkowskiego. Zaufanie usprawiedliwione i słuszne. Ale cóż, kiedy w pracy swej p. Bełcikowski zatarł wszelkie granice, gdzie kończy sie Tołstoj, a zaczyna Mereżkowski, gdzie się kończy ten ostatni a zaczyna autor. Tymczasem czytelnik winien je mieć wyraźne przed oczyma; studjum bowiem niniejsze mogłoby mieć pewne znaczenie tylko dla tych, którzy nie zapoznali się z dziełem Mereżkowskiego. Luźne uwagi i spostrzeżenia własne autor rozmieszcza wszystkie na jednej płaszczyźnie, na jednakowym planie oddalenia; nie wyodrębnia rzeczy ważnych śród kurzawy błahostek; nie przestrzega żadnej w szeregowaniu argumentów perspektywy, skutkiem czego sprawiają one wrażenie myśli samopas puszczonych na odłogi bezradnego tułactwa. Naogół jednak w udzielaniu argumentów jest p. Bełcikowski ostrożny i skąpy. Sugierować woli niż przekonywać. Metoda, którą się posługuje, dowodzi szczerej abdykacji ze wszystkich wysiłków twórczych, o ile może być, w stosunku do pracy jego, mowa o metodzie, nie zaś o przepisie praktycznym na produkowanie książek „szybko i w dobrym gatunku". Polega ona na dyskretnym i ulotnym zaznaczeniu punktów wyjścia, których się nie ma zamiaru rozwijać; założeń myślowych, które nie pociągają żadnych za sobą konsekwencji, na wydawaniu okrzyków, które są jedynie ruchem drgających fal powietrznych, lecz nieme pozostają dla uszu i głuche dla serca. Taki tryb pisania nie ma w sobie nawet tej swawoli przekornie rozigranych myśli, które w swobodnym locie z przedmiotu na przedmiot, błysną niekiedy efektem malowniczych wrażeń, niekiedy prawdą niespodziewanego odkrycia. Studjum p. B. nie jest czymś dokonanym, co istnieje jako rzecz aktualna; nie jest nawet szkicem lub pomysłem do rzeczy: poprostu stanowi tylko literackie odtworzenie tej możliwości myślowej, z której powstać rzecz jakaś miała. Zamiast myśli, rozumowań i uczuć—daje p Bełcikowski senne odruchy nerwów. To za mało.

*Wincenty Rzymowski.*

## Przesadna obfitość wystaw artystycznych.

W Zachęcie wystawy prac Zaleskiego, Fałata, Jasińskiego, Weyssenhoffa, Malczewskiego, Biskiego, Kuny i „Przegląd pracowni" Augustynowicza, Górskiego, Piotrowskiego, Ryszkiewicza i Noskowskiego.

W Salonie Kulikowskiego wystawa prac Biegasa.

Niezmiernie ważnym czynnikiem przy ocenianiu wytworów sztuki kulikarnej jest umiejętne ułożenie menu, czyli spisu potraw jakie mamy spożyć na uczcie, abyśmy mogli rozkoszować się ich smakiem wytwornym i delikatnym, aby jedna potrawa nie szkodziła drugiej, i abyśmy po ich spożyciu nie zachorowali na niestrawność.

Coś podobnego zachodzi i przy urządzaniu wystaw artystycznych kilku na raz autorów. Należy tutaj mieć na względzie aby prace jednego nie zabijały prac drugiego, lub nawet nie traciły przy bezpośrednim ich zestawieniu, aby się przez to nie stała krzywda wystawiającym autorom i, aby publiczność, oglądając dzieła wystawione, otrzymać mogła dodatnie estetyczne wrażenie, a nie chaos różnych form sprzecznych i dysharmonję kłócących się barw.

Trzeba zaznaczyć, że menu wystawowe w Zachęcie odznacza się złym ułożeniem, trudno bowiem o coś bardziej niezgodnego, niedostosowanego, jak razem wzięte wystawy prac Zaleskiego, Jasińskiego i Fałata. Ci trzej artyści ani nie mają nic wspólnego, ani nie dopełniają się, nawet nie stanowią kontrastu; uderzają chyba tylko biegunową sprzecznością pojęć i talentów.

Jak można było wystawić tuż obok śmiałych impresjonistycznych prac Fałata, skromne, pokolorowane fotografje, jakimi są utwory Zaleskiego? Co przy jednych i drugich zyskuje rzemieślnicza sprawność, wykazana w malowidłach Jasińskiego?

Na co zresztą tyle wystaw na raz, kiedy każda z nich, wzięta oddzielnie, mogłaby najzupełniej przez jakie dwa lub trzy tygodnie być siłą przyciągającą dla zwiedzenia Zachęty.

Prace Marcina Zaleskiego są bardzo ciekawe z wielu względów; dają nam one dokładny, fotograficzny niemal obraz stanu różnych budowli już nie istniejących albo przeistoczonych, wyglądu ulic różnych miast naszych i panoramy tychże, są więc pod tym względem ważnymi dokumentami. Co do artystycznego i malarskiego ich znaczenia, to świadczą one, że w epoce działalności tego artysty, a więc w połowie XIX wieku, nie umiano u nas malować, nie pojmowano znaczenia barw, nie odczuwano ich wzajemnego stosunku ani różnic, przejaskrawiano efekty i starano się przez to uzyskać możliwie najwyższą plastyczność.

Zgromadzone na wystawie prace tego artysty są malutką częścią jego artystycznego dorobku, pod względem więc ilości, wystawa ta nie dopisała wcale.

Czemu obecnie urządzono wystawę prac Fałata, skoro na dopiero co zamkniętej V dorocznej wystawie widzieliśmy ich sześć czy więcej nawet? Czy zebrane tak obficie dzieła tego artysty ukazują nam jaką nową stronę jego talentu? Bynajmniej, widzimy raczej jak Fałat naśladuje Fałata, powtarza się, tworzy prace zbyt łatwe i wartościowo raczej niższe od poprzednich.

Obraz „Dwa światy", co miał się zaznaczyć głębią myśli, jest prawie humoreską. Niepotrzebnie tu artysta głęboko się zamyślił i zakrył twarz swoją. Doskonalsze są bowiem, chociaż karykaturalne, jego figury chłopów, konie i pejzaż „jego świata", aniżeli kiepskie zjawy kobiet obnażonych, należące do „świata innych".

Zdzisław Jasiński posiada łatwą technikę, którą stosuje do pomysłów dekoracyjnych, cukierkowo-słodkich. W tematach, które mają być poważniejsze, wyczuwa się brak inteligiencji artystycznej. Najlepszą z wystawionych prac tego malarza jest duży portret kobiecy, utrzymany w jasnych tonach, ale nie posiadający żadnego wyrazu ani charakteru.

Wielką krzywdę pracom Jasińskiego wyrządził zawieszony w tejże sali doskonały i wybornie odczuty obraz Weyssenhoffa, wyobrażający mroźny i pusty krajobraz, na którym w śniegu widzimy jakieś krwawe ślady a nad nimi ciągnące kruki, lecące za pewnym żerem. Obraz ten robi potężne wrażenie i dobitnie wykazuje całą błahość i nicość pomysłów Jasińskiego.

Na krwawą ironję zakrawa w tej przepełnionej rozmaitymi nicościami sali zawieszenie tryptyku Malczewskiego, zatytułowanego „Grosz Czynszowy". Obraz ten, silny gamą swych barw wspaniałych i potężnych, unicestwił wszystko dookoła siebie. Malczewski w pracy tej wystąpił z jasną alegorją. Chrystus, którego czoło i czaszka są za wysokie, jest ubrany w zniszczony żupan i pas polski, mając na sobie jak i otaczające go figury szynel tułacza. W ręku jego znajduje się laska pielgrzyma. On uosabia biedną ojczyznę naszą, a gdy jedni z jej synów ukazują grosz cesarski, co ma być oddany cesarzowi, inni, umieszczę-

ni w głębi obrazu, zakuci w kajdany, idą w katorgę kuć metal, z którego grosz ten jest wybity. Na ich czele idący anioł z młodym Tobiaszem, zdaje się mówić, że nie znikła jeszcze nadzieja, lub że z posiewu kości ich wyrośnie wolność. Umieściwszy dwa swoje wizerunki na szkrzydłach tryptyku, Malczewski zaznacza tym iż jest świadkiem i historykiem — plastykiem uwidocznionej sceny. Obraz ten posiada wszystkie zalety i wszystkie wady, jakie zazwyczaj spotykamy w pracach tego artysty.

Zaledwie usunięto obrazy Zaleskiego, urządzono natychmiast tak nazwany „Przegląd pracowni" Augustynowicza, Gorskiego, Piotrowskiego, Ryszkiewicza i Noskowskiego, to jest wywleczono na widok publiczny całą tandetę i śmiecie z przed trzydziestu laty, podarte dywany, dziurawe kostjumy, brudne szmaty, poniszczone fotografje, kiepskie studja i jeszcze gorsze obrazy, ustawione na stalugach lub zawieszone na ścianach. Jak mogła myśl urządzenia takiej wystawy powstać komukolwiek w głowie, przecież to wszystko razem wziąwszy nie wywoła estetycznego wrażenia lecz odrazę. Jak można było te pleśnią pokryte przestarzałe akcesorja pracowniane wystawić obecnie, to jest w czasie, w którym światło i barwy nietylko w obrazach ale i w pracowniach panują!

Ta wystawa—to smutne testimonium paupertatis warszawskiego artyzmu.

Jedynie z prac Noskowskiego, z jego krajobrazów i motywów ornamentacyjnych bije duch świeży, duch czasu.

Ostatnie sale zajęte zostały przez studja i obrazy Biskiego, z których wyziera niewielki talencik, lecz sumienność w traktowaniu. Niektóre z tych krajobrazów odznaczają się usiłowaniem uzyskania kolorystycznych efektów.

W sali na dole umieszczono prace rzeźbiarskie Henryka Kuny; są to przeważnie biusty portretowe świadczące o pewnym talencie autora. W figurze „Hioba" czuć usiłowanie szukania dróg nowych. Niema jednak w tych pracach wewnętrznego ognia, niema energji, a tam gdzie artysta silił się ją wykazać, jak np. w głowie „Irydjona", wpadł w płaską teatralną manierę. Najbardziej w pracach tych zadziwia materjał w którym są wykonane. Większość ich bowiem odlana jest z bronzu lub wykuta z marmuru. Takie bogactwo materjału w biednej naogół rzeźbie naszej jest wprost niepojętym.

W Salonie Kulikowskiego znajduje się wystawionych kilka rzeźbiarskich i malarskich prac Bolesława Biegasa.

Trzy głowy — portrety wymodelowane świetnie, odznaczają się wybornym wyrazem i znakomitą techniką. Świadczą one o wybitnym talencie tego artysty. Statuetka mająca wyobrażać „Myśl", w osobie jakby budzącego się młodego człowieka jest dobrą w pojęciu, o dobrze wymodelowanych formach, lecz zbyt przypominającą słynną figurę „Wieku Bronzu" Rodin'a. Wyłaniające się nad nią formy kościste kobiece, szablonowo biegasowskie, są tam zupełnie zbyteczne. Dwie drugie statuetki są o wiele słabsze.

Z utworów malarskich tego utalentowanego rzeźbiarza zasługuje na uwagę główka — portret kobiecy, który, pomimo złego narysowania nosa i ust, robi wrażenie niezłego fresku o prymitywnym wyglądzie. Inne dwie głowy kobiece z podczernionymi przesadnie oczyma i głowa męzka, zwrócić mogą na siebie uwagę chyba tylko dziecinnym ich pojęciem. Są to płody bezsilnej oryginalności.

* * *

Należy koniecznie zmienić praktykowany u nas system wystaw artystycznych. Nie ilość ich, ale jakość i rodzaj ich urządzenia posiada znaczenie. Lepiej jest zamknąć sal kilka zupełnie, aniżeli przepełniać je, jak obecnie, nie godzącymi się dziełami sztuki. Należy również wprowadzić wystawianie pojedyńczych obrazów w specjalnej sali, co często wyjdzie na korzyść i dzieł innych. Gdyby obecnie tryptyk Malczewskiego oddzielnie był wystawiony, zyskałby on sam na tym dużo, a szczególniej wszystkie inne znajdujące się w tejże sali obrazy, które on brutalnie przygniata. Należy pamiętać, że sale Tow. Zach. Sztuk pięknych są przeznaczone nie na to, by wszystko co artyści tworzą naraz wystawiać, lecz aby z wystawionych prac publiczność wynosić mogła najwyższe wrażenie estetyczne.

*Wincenty Trojanowski.*

# Z PRASY.

## O zadania postępoweów.

Ostatnie uchwały Polskiego Zjednoczenia Postępowego i wystąpienie z niego kilkudziesięciu członków wywołały żywe zainteresowanie w prasie i pobudziły ją do ogólnego rozważania zadań stronnictwa. Znany publicysta, p. Ludwik Kulczycki, pierwszy podjął ten temat w *Nowej Gazecie.*

*Przegląd Poranny* przytaczając z uznaniem znaczną część wywodów p. Kulczyckiego dodał do nich uzupełniające uwagi, a p. Straszewicz w *Słowie* rozpoczął z p. Kulczyckim rzeczową polemikę.

Uderzającą cechą tej polemiki jest *pozorna* zgodność poglądów dwuch tak rozbieżne kierunki reprezentujących publicystów, zgodność niespodziana, powtarzająca się niemal automatycznie we wszystkich takich dyskusjach, póki idzie o formuły ogólne. Różnice a nawet sprzeczności polegają na tym, co się pod danymi formułami ukrywa i jakie się z nich wyciąga konsekwencje.

Jestto niby ten sam tekst ale całkiem inna melodja.

Pan Straszewicz, przytaczając program p. Kulczyckiego zawarty w zdaniu: „dążenie do uzyskania całkowitej autonomji Królestwa Polskiego na tle ogólnych przekształceń państwa rosyjskiego, w sojuszu z opozycją rosyjską i innych narodów, wchodzących w skład państwa" wraz z dodatkiem „Postępując więc drogą uzyskania powyższych zdobyczy, z rozwagą nie lekceważąc najdrobniejszych nawet reform, będziemy na pewnej drodze", stwierdza, że na program ten mogliby się pisać i realiści z wyjątkiem ustępu o „sojuszu z opozycją rosyjską", który jest może dobry, ale tylko dla postępowców.

Trudno byłoby jednak p. Straszewiczowi wytłumaczyć się z tego zastrzeżenia, gdyby go w następujący sposób pociągnąć za słówka:

1-o „Czy mogą Polacy urzeczywistnić ten program bez pozyskania dla niego sojuszników w obrębie państwa? Odpowiedziałby niewątpliwie całkiem realistycznie: „Nie".

2-o „Gdzie mogą znaleźć tych sojuszników poza opozycją?"

Sam mówi: „Nikt z nas nie będzie pomagał reakcji rosyjskiej, bo to wróg!" Nie wątpi też zapewne, że ten „wróg" i nam w niczym nie dopomoże.

3-o „Decydująca większość dzisiejszej reakcyjnej Dumy czyż nie jest reakcją?"

Swoją drogą nie można się o to sprzeczać z panem Straszewiczem, że sojusz naszych stronnictw reakcyjnych z rosyjskimi postępowcami jest równie niemożliwy jak sojusz naszych postępowców z rosyjskimi reakcjonistami. Różnice programu społecznego uniemożliwiają współdziałanie polityczne. Stąd wynika jednak tylko ten wniosek, że choć uzyskanie autonomji jest programem wszystkich stronnictw polskich, widoki ziszczenia go w przyszłości mają tylko te, które mogą współdziałać z opozycją rosyjską.

„Demokracja i decentralizacja to wcale nie równoznaczniki"—pisze słusznie p. Straszewicz, ale demokracja rosyjska będzie musiała być decentralizacją. Zmuszą ją do tego same warunki kraju, w którym nawet biurokracja musiała się zdecentralizować, tworząc — jak to powiedziano — Dumie — „autonomiczne satrapie", a przedewszystkim zmusić ją winni jej sojusznicy.

Możliwość uniknięcia sojuszu z opozycją, możliwość zresztą więcej niż wątpliwą, upatrywać może p. Str. w zakresie owych „najdrobniejszych nawet reform", które — rzecz wielce charakterystyczna, podkreśla w tekscie swego artykułu. Tu właśnie leży niby drobna lecz zasadnicza różnica.

P. Kulczycki o najdrobniejszych reformach wspomina mimochodem, p. Straszewicz z naciskiem, który budzi obawy, że zasłonią one najważniejsze lecz na dalszą obliczone metę. Pan K. wierzy zapewne, że nawet i najdrobniejsze — jak pouczają fakty całkiem świeże, nie dadzą się uzyskać na drodze gładkich stosunków z reakcyjną większością, lecz tylko na tej samej, która prowadzi do zdobyczy poważnych.

Pan Straszewicz obawia się, by wpatrzenie się w cel dalszy pozbawiło nas tych drobnych codziennych korzyści. Pierwszy wniosek, jaki stąd wysnuwa, to konieczność podziału pracy między stronnictwami — tak przynajmniej jego słowa rozumieć można.

O dalszych artykułach tej serji pomówimy osobno.

## Secesja w świetle „Dnia".

*Dzień*, który — jak się zdaje — stał się wyrazem dążeń i nastrojów „secesjonistów" z P. Z. P., w artykule wstępnym z d. 9 b. m. z niemałym rozdrażnieniem konstatuje, że oba wychodzące w Warszawie dzienniki postępowe: *Nowa Gazeta* i *Przegląd Poranny* nietylko w ustąpieniu grupy niezadowolonych nie widzą ciosu dla stronnictwa, lecz przeciwnie upatrują w nim zadatek przyszłego jego rozwoju i żywotności.

„P. Kulczycki nie chce wiedzieć — pisze *Dzień* — że z listy członków Zjednoczenia wykreśliły się już 44 osoby, że stronnictwo zostało zupełnie rozbite (!), że doktrynerstwo akademików postępu będzie dobijać do reszty uszczuploną partję".

Możemy uspokoić Szanowną Redakcję, że o rozbiciu stronnictwa nietylko mowy niema, lecz i te straty liczebne, które poniosło, już w znacznej części zostały pokryte przybytkiem nowych członków, których ostatnie przejścia natchnęły taką samą otuchą i wiarą w przyszłość Polskiego Zjednoczenia Postępowego, jaka przebija ze szpalt *Przeglądu Porannego* i *Nowej Gazety*. Dowód to, że nie „Zjednoczenie" przejadło się społeczeństwu, lecz te wewnętrzne tarcia, które zacierały jego barwę i krzyżowały jego prostolinijny kierunek. Przejadła się ta wędrowna trupa polityków, którzy mieniąc się praktycznymi postępowcami, w ciągłych przeprowadzkach od jednej do drugiej organizacji, od jednego do drugiego dziennika, ciężki balast „postępu niezależnego i czystego" musieli pozostawić na składzie do odebrania za pokwitowaniem w dogodniejszej chwili. „Praktyczność" zresztą nie dużo na tym zyskała. Pogrzebania kilku pism i zlikwidowania kilku firm politycznych nie można chyba nazwać bogatym dorobkiem działalności publicznej.

Przypominamy, że „groza oddzielenia Chełmszczyzny", zręcznie spożytkowana na ogólnym zebraniu, już ze szpalt pism znikła, a nawet w tymże samym numerze *Dnia* na tejże samej kolumnie uważny czytelnik znajdzie wiadomość, że „projekt ten w ciągu sesji bieżącej wcale nie zostanie wniesiony do Dumy". W miejsce „akademickiego" opierania się na zasadach, secesjoniści nadużywają opierania swej polityki na *sposobach*, ale posługiwanie się straszakiem, w który się już samemu wierzyć przestało, jest przecież sposobem zbyt grubym i naiwnym.

Nazywając siebie „frakcją ludzi szczerze patryjotycznych i rozumnie demokratycznych", już po raz wtóry na tym samym miejscu wzywają nadaremno wielkie imiona Staszica i Kołłątaja, zgłaszając się po spadek ideowy po tych mężach, niepomni własnej przestrogi, że „praca nie może polegać na wygłaszaniu pięknych aforyzmów i upajaniu się dźwiękiem szumnych frazesów". (Np. *Postęp i ojczyzna*!)

## Pożądane objawy.

Wszystkie dzienniki warszawskie przytoczyły mowę posła Świeżyńskiego wygłoszoną przy etacie ministerjum spraw wewnętrznych. W mowie tej znalazły się nareszcie rzeczy, na które dawno nadaremno oczekiwał kraj: protest przeciw zamknięciu instytucji oświatowych jak Macierz Szkolna, Uniwersytet dla wszystkich i Kursa dla analfabetów, przeciw zamykaniu związków zawodowych, przepełnieniu więzień, wyrokom śmierci, przeciw stanom wyjątkowym w Królestwie.

Dość sucha pod względem formy, co do treści więcej zadawalniać może, niż wszystko, co dotąd z ust polskich słyszano w Dumie państwowej — choć były i tam pewne niesmaczne wzmianki wyszczególniające np. jako najniesłuszniej prześladowanych tych „co zwalczają anarchję". Co pan Świeżyński rozumie pod wyrazem anarchja? Wszakże wszystkie przez pana S. przytaczane instytucje w pewnej mierze anarchję zwalczają, organizując dezorganizowane przez stany wojenne siły społeczne. Anarchja nas zwalcza — ta anarchja, o której mówił Rodiczew, wytrąca nam z ręki broń przeciw sobie, t. j. swobodę organizacji.

Swoją drogą obecne mowy polskich posłów, zarówno jak ich głosowanie podczas interpelacji w sprawie Azefa i kilku innych świadczą o chęci uwzględniania opinji kraju i jego potrzeb, czego nie było dawniej za prezesury p. Dmowskiego.

Nie bezzasadne będzie chyba przypuszczenie, że komunikat P. Z. P. był jednym z czynników, które wpłynęły na ten zwrot pożądany przypominając, że sąd opinji publicznej kraju może się wyrazić w formie bardzo surowej i że lekceważyć go nie wolno.

## KRONIKA.

— Dnia 2-go marca w lokalu P. Z. P. odbyło się zebranie dyskusyjne dla członków Koła warszawskiego. Referowali p. p. Łypacewicz i Lange o ideowym stanowisku stronnictwa na tle bieżących spraw. Przedmiot ma być nadal wyczerpująco omawiany w szeregu poszczególnych referatów.

— W Paryżu zmarł słynny rzeźbiarz francuski Aleksander Charpentier.

— Zmarł w Krakowie Zygmunt Drozdowicz b. student uniwersytetu warszawskiego, zdolny mówca i publicysta. Koledzy jego z Krakowa nadesłali następującą odezwę:

Kim był — o tym wie młodzież akademicka. Dziś, gdy mamy oddać Mu ostatnią przysługę koleżeńską, gdy już tylko pamięć Jego czcić możemy, uczcijmy ją w myśl Jego życzeń, wieńcem czynu. Ostatnie słowa, jakieśmy od niego słyszeli: „Zbudujemy dom Bratniej Pomocy w Zakopanem". Koledzy i Koleżanki! Jeżeli chcecie uszanować i uczcić pamięć Zycha według Jego woli, składajcie zamiast wianków ofiary na budowę Domu Zdrowia Bratniej Pomocy w Zakopanem.

Cześć Jego prochom i pamięci!

„SPÓJNIA"
Stow. młodzieży postępowej w Krakowie.

**SPROSTOWANIE:** W zeszłym numerze w artykule p. t. „Z Podziemi" na str. 4 wierszu 31-ym zamiast „szpieg a prokurator to co innego" — winno być „szpieg a prowokator to co innego".

# OGŁOSZENIA.

## OD WYDAWNICTWA

# „Kurjera Lwowskiego“

Z dniem 1. stycznia 1909 „Kurjer Lwowski„ rozpoczął dwudziesty siódmy rok pracy. Stojąc zawsze na straży interesów postępu i zdrowej myśli narodowej, „Kurjer Lwowski“ baczył również na to, by jako dziennik mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom pod względem informacyjnym. To też przed dwoma laty—w dwudziestym piątym roku swego istnienia — „Kurjer Lwowski“ zaczął wychodzić

**dwa razy dziennie.**

Dwurazowe wydawnictwo umożliwiło nam szybkie informowanie Czytelnika o najważniejszych wypadkach dnia, a nadto pozwoliło na szersze omawianie najaktualniejszych spraw z wszelkich dziedzin życia.

Z nowym rokiem przystępujemy

**do rozszerzenia pisma.**

Mianowicie po urządzeniu własnej drukarni zaczniemy wydawać przy „Kurjerze Lwowskim“ bezpłatny

**dodatek literacko-naukowy**

pod tytułem:

## Na ziemi naszej,

w którym jak dawniej w „Tygodniu“, pomieszczać będziemy ilustrowane i wyborowe artykuły treści literackiej, historycznej i naukowej znanych już z łamów „Tygodnika“ i „Kurjera Lwowskiego“ autorów polskich.

Dodatek „Na ziemi naszej“ wychodzić będzie na razie co dwa tygodnie w objętości ośmiu stron druku na papierze illustracyjnym. Pierwszy numer wyjdzie w styczniu. Między innymi rozpoczynamy w pierwszym numerze dodatku literacko-naukowego „Na ziemi naszej“ druk nowego utworu beletrystycznego

**Adama Szymańskiego**

p. t.

## Małka

oraz ciekawy pamiętnik górala z Chochołowa, JÓZEFA PILCHA:

**O powstaniu chochołowskiem**

W felietonie „Kurjera Lwowskiego“ zamieszczać będziemy, jak dotąd, referaty literackie i naukowe, oraz powieści i nowele najwybitniejszych autorów polskich. Obecnie rozpoczęliśmy druk dłuższej powieści historycznej

**Kazimierza Przerwy Tetmajera**

p. t.

## Maryna z Hrubego

Następnie pojawi się w feljetonie „Kurjera Lwowskiego“ powieść

**Władysława Orkana**

p. t.

## Drzewiej.

Jak dotąd, tak i nadal wychodzić będzie przy „Kurjerze Lwowskim“

**„Bibljoteka powieściowa”**

w dotychczasowej objętości, na którą składają się utwory najcelniejszych autorów obcych i naszych.

Na początek damy jedną z najpiękniejszych powieści zmarłej niedawno Ouidy oraz Conana Doyla.

Wszystkim nowym prenumeratorom wysyłamy bezpłatnie, dopóki zapas starczy, trzytomową rozgłośną powieść Hall Caine'a

**„Wieczne miasto”**

po uiszczeniu kosztów przesyłki w kwocie 30 gr.

Warunki prenumeraty:

W Królestwie Polskim i w Rosji z przesyłką pocztową pod opaską: **miesięcznie rb. 1 kop. 50.**
**Kwartalnie rb. 4 kop. 50.**

Pieniądze najlepiej wysyłać przekazem pocztowym pod adresem Administracji

**„Kurjera Lwowskiego” Lwów.**

---

**Zdrowie jest najcenniejszym skarbem dla wszystkich!**
**SŁYNNA W CAŁYM ŚWIECIE**

## HERBATA z gór HARCU

(D-r LAUER'S HARZER GEBIRGSTEE).

Zalecana przez najsłynniejsze powagi lekarskie, zatwierdzona przez Depart. Med. przy Minister. Spraw Wewnętrz w Petersburgu, jest jednym najniezbędniejszych środków dla utrzymania zdrowia. Napój ten, przyjmowany w ilości 2 — 3 filiżanek tygodniowo, leczy: wyrzuty, liszaje, uderzenia krwi do głowy, hemoroidy, reumatyzm, artretyzm, cierpienia żołądka i t. p. przywraca apetyt prawidłowe trawienie. Działa skutecznie w wypadkach zapalenia płuc, influenzy, choleryny.

**Cena pudełka 1 rb., ½ pudełka 50 kop.**

**Uwaga:** Każde oryginalne pudełko zaopatrzone następującą etykietą: Reprezentant na Królestwo Polskie i Cesarstwo:

**JÓZEF GROSSMAN. Warszawa, Śliska Nr. 33a.**
**Tel 184.44.**

Zamiejscowym wysyłam za zaliczeniem od rb. 1, z odliczeniem na koszta przesyłki. Wystrzegać się falsyfikatów i podrabianych etykiet!

---

## W ADMINISTRACJI „PRAWDY”.

**są do nabycia następujące broszury:**

*Jerzy Kurnatowski:* „O Solidaryzmie”. Cena kop. 20.

*Emil St. Rappaport:* Radykalizm u nas i obcych”. Cena kop. 20.

*Aleksander Kroński:* „Syndykalizm i Tradeunionizm”. Cena kop. 40.

---


**Prenumerata „Prawdy”**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.


---




Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.